Nr. 3 i 4.

ROCZNIKI

OBYDWÓCH ZGROMADZEŃ

Św. WINCENTEGO a PAULO.

Rok XXII.

KRAKÓW.
Wydawnictwo i nakład Księży Misjonarzy.
1920.

SPIS RZECZY:

Dekret Stolicy Apostolskiej,

przyznający Wielebnej Słudze Bożej Ludwice de Marillac, wdowie Le Gras, współzałożycielce Zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia, tytuł i cześć Błogosławionej.

Benedykt PP. XV.
na wieczną rzeczy pamiątkę.

Pomiędzy rodzinami zakonnemi, które w długim szeregu wieków spodobało się Bogu do życia powołać, nie tylko dla obrony i ozdoby Swego Kościoła, lecz także dla zbudowania i korzyści społeczeństwa ludzkiego, pierwsze bez wątpienia miejsce zajmuje owo znane wszystkim Zgromadzenie dziewic, któremu nadano nazwę: miłosierdzia. I rzeczywiście liczba sióstr tego stowarzyszenia dochodzi do 37.000; rozprószone, rzecz dziwna, po wszystkich zakątkach świata katolickiego, spełniają obowiązki chrześcijańskiego miłosierdzia w szkółkach, zakładach sierocych, ochronkach, szpitalach, więzieniach a nawet w obozach i na polu bitwy, wywołując słusznie ogólny podziw. Podobnie jak inne żeńskie zgromadzenia zakonne, mianowicie Benedyktynki, Klaryski i zakonnice Nawiedzenia Najśw. M. P. chlubią się tem, że oprócz swoich założycieli: Benedykta, Franciszka z Asyżu i Franciszka Salezego, miały także współzałożycielki, mianowicie Scholastykę, Klarę i Joannę de Chantal, tosamo powtarza się i przy tem pożytecznem Zgromadzeniu, że miało ono dwóch budowniczych. Jeden z nich, to mąż sławny z pobożności, którego sławie żadne słowo dorównać nie może, św. Wincenty a Paulo; drugi, to przesławna uczenica, jego córka duchowna, uczestniczka jego trudów i towarzyszka prac, czcigodna sługa Boża Ludwika de Marillac,

wdowa Le Gras. Urodzona w Paryżu dnia 12 sierpnia roku 1591 z pobożnych i szlachetnego rodu rodziców Ludwika de Marillac i Małgorzaty Le Camus, pilnie kształciła się w literaturze i filozofii, lecz daleko gorliwiej upiększała swą duszę kwiatem pobożności i strażniczką wszystkich cnót, skromnością. Obdarzona wielką urodą i pochodząc ze znakomitej rodziny miała wstęp wolny nawet na dwór królewski, jednakowoż tak dalece stroniła od ponęt świata, iż zapragnęła poświęcić się Panu Bogu w zakonie Sióstr Kapucynek. Inne jednakże względem sługi Swojej miał Wszechmocny Bóg zamiary. Po śmierci bowiem ojca, za poradą swego spowiednika i ulegając jego rozkazowi, poślubiła w roku 1613 Antoniego Le Gras, rodu szlacheckiego, i miała jedynego syna, Michała Antoniego, któremu bardzo staranne dała wychowanie, wdrażając go do życia moralnego. W stanie małżeńskim przeszło dwanaście lat wiodła żywot bardzo przykładny i roztropny, a nawet domownicy jej byli świadkami nadzwyczajnej cnotliwości tej matki rodziny. Kiedy uporczywa i ciężka choroba przykuła Antoniego do łoża, wtedy pełna słodyczy małżonka nie odstępowała od jego posłania i pokornie znosiła łajania i utyskiwania opryskiwego i gniewliwego męża: cierpliwością swoją złamała jego upór i swoją pobożnością tego dokazała, że zakończył żywot po chrześcijańsku, umierając bardzo spokojnie. Zwolniona z więzów małżeństwa i odzyskawszy wolność czcigodna sługa Boża złożyła ślub wdowieństwa i, o czem ciągle była marzyła, poświęciła się wyłącznej służbie wspierania ubogich; z własnej woli oddała się pod kierownictwo św. Wincentego a Paulo, który podówczas zbierał obfite żniwo na polu miłosierdzia. Ten mąż apostolski, chcąc aby niczyje ubóstwo nie pozostało bez wsparcia, niczyja bieda bez pomocy, niczyja nędza bez pociechy, założył znane powszechnie zakłady miłosierdzia, które wkrótce rozmnożyły się po Paryżu i poza jego murami i dostarczały zaradczego lekarstwa na wszelkiego rodzaju biedy. Tych oto zakładów jakoby duchem ożywczym była sługa Boża, która idąc śladami swego nau-

czyciela tak dalece rozgorzała chęcią naśladowania jego cnót, iż nie tylko wielką mu była pomocą, lecz w ponoszeniu trudów niemal mu dorównała. Ani uciążliwości podróży, ani nawałności nieba, ani brak pokarmu i napoju, ani wątłe zdrowie nie zdołały odwieść Sługi Bożej od ustawicznego wykonywania dzieł miłosierdzia. Ponieważ atoli w dwóch okresach swego życia, w małżeństwie i w stanie wdowim, dokładnie zapoznała się z wszelaką nędzą ludzką, przeto żeby stowarzyszenia miłosierdzia w pełniejszej mierze odpowiadały swemu zadaniu, zaczęła myśleć o założeniu zakonnego zgromadzenia dziewic i niewiast, któreby wolne od więzów ziemskiej rodziny, ale także nie skrępowane przepisami klauzurowymi, mające jednakże pewne reguły, żyły w pośrodku onej właśnie nędzy, dla zapobiegania której zostały właśnie powołane. Z tym planem zwierzyła się czcigodna sługa Boża świętemu Wincentemu, którego ta nowa myśl wprawiła w zdumienie, ponieważ pospolicie w owym czasie, jakiekolwiek istniały zakonnice, to na mocy wyraźnego nakazu Soboru Trydenckiego wszystkie musiały być zamknięte w obrębie murów klasztornych i stamtąd nie wolno im się było ruszyć, a o jakiemś zgromadzeniu niewiast, żyjących swobodnie poza kratą klasztorną, nawet na myśl nikomu nie przychodziło; wobec tego święty mąż przez długi czas rzecz ważył i w gorących modłach błagał o natchnienie z nieba. Kiedy atoli przekonał się o korzyściach zamierzonego Zgromadzenia i duchem Bożym przeczuł przyszłe tegoż obfite pożytki, ochotnie zezwolił Ludwice na to, by podłożyła podwaliny pod to nowe stowarzyszenie Córek Miłosierdzia i by ułożyła reguły. Z jaką roztropnością te przepisy ułożyła, z jaką gorliwością czcigodna sługa Boża czuwała nad wzrostem kiełkującego Zgromadzenia, łatwo można wywnioskować z przedziwnego rozszerzenia się tego stowarzyszenia. Dała przykazanie, pochodzące z gorliwości i miłości, że Córki Miłosierdzia mają być sługami ubogich i gotowemi być na wszystkie ich usługi. Zaleciła im, żeby w prywatnych mieszkaniach i w szpitalach pielęgnowały

chorych, żywiły porzucone lub osierocone dzieci, utrzymywały zniedołężniałych skutkiem wieku starców, przynosiły pociechę tym, których zamknięto w państwowych więzieniach. Było w końcu jej życzeniem, żeby te ciche i nie mniej dzielne dziewice przed żadnemi nie wzdrygały się trudnościami, żadnemi niebezpieczeństwami, lecz pod naciskiem miłości Chrystusowej, by gotowe były nawet śmierć ponieść, nie lękając się złorzeczeń galerników, chorób zakaźnych, ani pocisków ziejących ogniem armat. Pod koniec roku ery chrześcijańskiej 1638 czcigodna Sługa Boża została dopuszczona do złożenia prostych ślubów ubóstwa, czystości i posłuszeństwa; śluby te razem z pierwszemi czterema siostrami w święto Zwiastowania N. M. P. roku 1642 powtórnie złożyła. Resztę życia swego całkowicie obróciła na wzmacnianie i rozszerzanie rodziny zakonnej, którą była założyła. Ciągle otwierały się nowe domy, przyjmowano fundacje, i jeszcze za życia zakonodawczyni matki Ludwiki Siostry Miłosierdzia nie tylko rozeszły się po wszystkich prowincjach Francji, ale nawet dotarły do Polski. Aż do ostatnich dni swego ziemskiego żywota, lubo często na zdrowiu niedomagała, osobiście sprawowała rządy Zgromadzenia, zwyczajnych dzieł nigdy nie przerwała i powierzone sobie Siostry słowem i przykładem zachęcała do umiłowania pobożności. Kiedy nareszcie liczyła już 69 rok życia, w lutym roku 1660 w ciężką popadła chorobę i przeczuwając bliską śmierć, kazała do siebie poprosić najukochańszego swego Ojca św. Wincentego. Lecz bogobojny mąż, mający już przeszło lat 80, tudzież starością i chorobą złamany, gdyż ani na krok ruszyć się nie potrafił, wyrzekł te słowa, które świadczą o niezwykłej cnocie i nauczyciela i uczenicy: „Powiedz Ludwice: co się tyczy ciebie, to teraz odchodź; wkrótce ja za tobą podążę do nieba“. Dnia 15 marca, posilona Komunją św. przyjętą jako Wijatyk, i umocniona ostatniem Olejów świętych pomazaniem, Służebnica Boża dała błogosławieństwo rzewnie płaczącym swoim córkom, które się były dookoła zgromadziły i zachęcała je do skrupulatnego zachowywania reguł,

poczem śmiercią bogobojną zasnęła w Panu. Sześć mniej więcej miesięcy przeżył św. Wincenty swoją przesławną uczenice i córkę duchowną. W dwóch konferencjach, które miał przed wyborem nowej przełożonej wobec Zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia, zwyczajem Świętych, oddał hołd cnotom, jakie zmarła matka Ludwika była wykonywała; mimoto sumienie nakazało mu przestrzedz je, że lubo wielkie jest o Słudze Bożej Ludwice między ludźmi mniemanie, to jednakowoż nie można jej oddawać żadnych oznak czci religijnej ani prywatnie, ani w kościele. Córki Miłosierdzia, co było rzeczą słuszną, całkowicie zastosowały się do zaleceń świętego Ojca, i w ciągu dwóch stuleci, powodowane duchem pokory, w prywatnych jedynie mieszkaniach pielęgnowały i czciły pamięć swej pobożnej założycielki. Kiedy jednakże sława jej świętości nieustannie rosła, opromieniona przytem blaskiem cudów, wtedy w Paryżu, skąd Sługa Boża 220 lat temu ku niebieskim uleciała przybytkom, wszczęto proces kościelny nad sławą jej świętości, cnót i cudów, z ramienia władzy dyecezalnej, a kiedy dowody uznano wobec prawa za wystarczające, Poprzednik Nasz, ś. p. Papież Leon XIII dnia 10 czerwca 1895 wydał dekret o rozpoczęciu sprawy. Potem zaczęło się badanie, czy cnoty były wykonywane w stopniu heroicznym, a po ukończenin badań, wymaganych przez prawo, Poprzednik Nasz ś. p. Ojciec św. Pius X. dnia 19 lipca roku 1911 uroczystym dekretem orzekł, że cnoty wielebnej Sługi Bożej Ludwiki de Marillac dosięgały stopnia heroizmu. Wnet przystąpiono do badania cudów, które, jak wieść niosła, dokonane zostały przez niebo za przyczyną Sługi Bożej. I dnia 9 marca roku ubiegłego 1919 we wydanym przez Nas dekrecie, najwyższą władzą Naszą, orzekliśmy, że istnieje pewność co do trzech cudów zdziałanych za orędownictwem rzeczonej sługi Bożej. Kiedy przytem siła dowodów, na których sprawa się opierała, wymagała tego, by podwoić liczbę cudów, aby braki sądu ziemskiego uzupełnił sąd boski, i gdy, jak niedawno przedtem orzeczono, miano pewność tylko co do trzech cudów, My,

powołując się na władzę naszą Apostolską, przyspieszyliśmy usunięcie tej jedynej, jaka jeszcze zachodziła, przeszkody. Idąc przeto za przykładem Poprzedników Naszych, którzy podobnego udzielali zwolnienia w sprawach beatyfikacji założycieli zakonów lub zgromadzeń religijnych, dyspensy od czwartego cudu chętnie udzieliliśmy. Tak więc sądownie orzeczono co do cnót heroicznych i trzech cudów; pozostało jeszcze zapytać się Ojców o zdanie, czy wielebną Slugę Bożą można śmiało zaliczyć w poczet Błogosławionych. Pytanie to postawił Czcigodny Nasz Brat, Świętego Rzymskiego Kościoła Kardynał Wincenty Vannutelli, Biskup Ostyeński i Prenestyński, Dziekan Świętego Kolegium i Referent Sprawy na ogólnem zebraniu, odbytem w Naszej obecności w pałacu Watykańskim dnia 17 czerwca roku ubiegłego; wszyscy Kardynałowie, którym powierzona jest piecza o święte Obrzędy, tudzież wszyscy tamże obecni Ojcowie Konsultorowie, jednogłośnie przytakującą dali odpowiedź. My jednakże w tej tak niezmiernie ważnej sprawie odłożyliśmy wypowiedzenie Naszego zdania na później, póki u Ojca światłości nie uprosimy pomocy niebiańskiej mądrości. Wreszcie po usilnych modłach, w czwartą niedzielę po Zielonych Świątkach to jest 6 lipca tegoż roku 1919, po skończonej ofierze Eucharystycznej, w obecności zebranych w pałacu Watykańskim Czcigodnych Braci Naszych Świętego Rzymskiego Kościoła Kardynałów Antoniego Vico, Biskupa Portueńskiego i kościoła św. Rufiny, Prefekta Kongregacji Świętych Obrzędów, oraz Wincentego Vannutelli, Biskupa Ostyeńskiego i Prenestyńskiego, Dziekana Świętego Kolegium, Referenta Sprawy, tudzież ukochanych synów Anioła Mariani, Generalnego Promotora Wiary i Aleksandra Verde, Sekretarza Kongregacji Świętych obrzędów, orzekliśmy, że śmiało przystąpić można do uroczystej Beatyfikacji Czcigodnej Sługi Bożej Ludwiki de Marillac, wdowy Le Gras, współzałożycielki Zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia. Doprawdy nie bez osobliwego i mądrego zrządzenia Bożego musiało się to stać, że w tym naszym wieku, w którym po całej Europie

rozpętała się najokropniejsza wojna, której dziki szał najbardziej spustoszył w ohydny sposób francuskie prowincje, ta córa katolickiej Francji i tego przesławnego narodu ozdoba i chluba, ta apostołka miłości i wzajemnego między ludźmi przywiązania, została wywyższona na ołtarze. Wobec tego, gdy do tego kroku skłoniły nas także z jednej strony prośby Zgromadzenia Misji, którego chlubnym założycielem jest Wincenty a Paulo, z drugiej całego Zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia, powagą Naszą Apostolską niniejszem pozwalamy, aby czcigodna sługa Boża Ludwika de Marillac, wdowa Le Gras, w przyszłości nosiła tytuł Błogosławionej, i by jej szczątki czyli relikwie, których jednakże nie wolno obnosić w publicznej procesji, wystawione były ku publicznej czci wiernych, a wizerunki ozdobione były aureolą. Nadto mocą tejże władzy Naszej pozwalamy, aby o niej corocznie odmawiano officium i odprawiano mszę świętą „de communi nec Virginum nec Martyrum" z osobnemi oracjami przez Nas zatwierdzonemi, według rubryk mszału i brewiarza rzymskiego. Rzeczone officium wolno odmawiać i mszę świętą odprawiać tylko w Paryżu i archidyecezji paryskiej, tudzież we wszystkich kościołach i domach zakonnych wszędzie na całym świecie, należących do Zgromadzenia XX. Misjonarzy i Sióstr Miłosierdzia, oraz w miejscowościach, w których owi Misjonarze i Siostry Miłosierdzia spełniają swoje powinności; pozwolenie to daje się wszystkim wiernym, zobowiązanym do odmawiania pacierzy kapłańskich, a co do mszy świętej wszystkim kapłanom, tak świeckim jak zakonnym, przybywającym do kościołów, w których obchodzi się uroczystość, mianowicie corocznie dnia 15 marca. W końcu dajemy pozwolenie, aby uroczystości beatyfikacyjne czcigodnej Sługi Bożej Ludwiki de Marillac, wdowy Le Gras, odbywały się z officium i mszami świętemi wedle rytu t. zw. duplex majus, w kościołach wyżej wymienionych Zgromadzenia Misji i Zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia, tudzież w archidyecezji paryskiej; nakazujemu jednak, aby biskup na to dzień wyznaczył, a to przed upływem roku po odprawieniu przez

Nas takiej uroczystości w Bazylice Watykańskiej. Tym naszym pozwoleniom nie stoją na przeszkodzie żadne uchwały, ani rozporządzenia Apostolskie, ani dekreta „o nie oddawaniu czci“, ani żadne inne. Chcemy nadto, aby także wszystkim wydrukowanym kopiom niniejszego pisma dano nawet w rozprawach sądowych tę samą wiarę, jaką miałby oryginał, gdyby go pokazano, byleby tylko miały podpis Sekretarza Kongregacji Świętych Obrzędów i pieczęć Prefekta tejże Kongregacji.

Dan w Rzymie, u świętego Piotra, pod pierścieniem Rybaka, dnia 9 maja roku 1920, Pontyfikatu Naszego szóstego.

Kard. Gasparri, Sekretarz Stanu.

Dekret Stolicy Apostolskiej,

przyznający Czcigodnym Sługom Bożym Marji Magdalenie Fontaine i jej trzem towarzyszkom ze Zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia*), tytuł i cześć Błogosławionych.

Benedykt PP. XV.
Na wieczną rzeczy pamiątkę.

Kościół Boży, zraszany krwią męczenników już od samego swego zarania, później aż po nasze czasy nigdy nie przestawał dostarczać zadziwiających wzorów męstwa. To powtórzyło się także podczas owej okrutnej i bezbożnej rewolucji, która przy schyłku wieku XVIII rozpętała się po całej Francji i starodawną owego przesławnego kraju wiarę doszczętnie wygubić usiłowała. Albowiem, kiedy się owa rewolucja srożyła, wtedy ku wiecznej chwale Kościoła nowym zaiste zajaśniały blaskiem korony i palmy męczeńskie, mianowicie Bogu poświęcone dziewice, dorywnywując dawnym wyznawcom wiary, nie wahały się cierpieć najsroższych

---

*) To breve apostoskie ogłasza równocześnie beatyfikację jedenastu Urszulanek. Ale wszystko, co w niem odnosi się do nich, opuściliśmy w tłómaczeniu niniejszem ze względu na zakres „Roczników“.

za Chrystusa mąk i krwawą ze swego życia złożyć ofiarę Do ich grona zalicza się Dziewice cztery, które należą do Zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia, mianowicie Siostry: Marja Magdalena Fontaine, Marja Franciszka Lanel, Teresa Fantou i Joanna Gérard. Z nienawiści ku wierze świętej skazane na ścięcie ochotnie i radośnie poniosły śmierć w mieście Cambrai. Wprawdzie gdy rozchodzi się o męczenników, to już „w samej śmierci tkwi pojęcie heroizmu", a przeto nie jest rzeczą konieczną „badać życie ubiegłe", wypada jednakże w kilku słowach i jakoby w streszczeniu napomknąć o życiu tych chrześcijańskich bohaterek, aby po uczynkach poznano ich wiarę. Co się tyczy czterech Sióstr Miłosierdzia, to były one w tem szczęśliwem położeniu, że w mieście Arras mieszkały one w tym samym domu zakonnym, który ongiś powstał za staraniem świętego Wincentego a Paulo i jego ukochanej uczenicy i córki duchownej Ludwiki de Marillac w czasie, kiedy oboje żyli na ziemi i żywą rozwijali działalność. Na czele pobożnego Zgromadzenia stała Marja Magdalena Fontaine, która jako młodziutka panienka przyjęta do Zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia takie uczyniła w cnocie postępy, iż powierzono jej zarząd domu; na tym urzędzie jak wiadomo, okazywała szczególniejszą roztropność, połączoną ze skrupulatnem zachowywaniem reguł. Kiedy bowiem już zbliżała się groźna nawałnica, wtedy młodszym towarzyszkom, którym większe groziło niebezpieczeństw, kazała wrócić do swych rodzin albo za granicą szukać schronienia, sama wraz z trzema starszemi siostrami pozostała w Arras. Temi towarzyszkami trudów i chwalebnego męczeństwa były: Marja Franciszka Lanel, Marja Teresa Fantou i Joanna Gérard, wszystkie urodzone we Francji i wielce zasłużone córki Zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia, które na równi ze swą przełożoną przepojone były nieskażonym i pierwotnym duchem swego Ojca prawodawcy, św. Wincentego a Paulo, i współzałożycielki Ludwiki, a zaiste, wśród zamieszania społecznego i grożących niebezpieczeństw wcale nie ograniczały swych trosk i starań, jakiemi zazwyczaj swych ubogich

i chorych otaczały, owszem z tem większą wytrwałością i ochotą mimo najróżnorodniejszych przeciwności poświęcały się nadal temu najważniejszemu swego powołania zajęciu. Przestrzeżone, by pamiętały o swem własnem ocaleniu i by schroniły się w bezpieczne miejsce, nie chciały żadną miarą chorych opuścić, póki ich raz po raz kuszono do tego, czego z czystem sumieniem, bez naruszenia przepisów religii czynić im się nie godziło; o tem miały zdanie wyrobione. Zmuszano je do złożenia tak zwanej przysięgi wolności i równości, ale nieustraszone dziewice stanowczo temu się oparły, za co nałożono im kajdany i do państwowego wtrącono więzienia. Później przeniesiono je do miasta Cambrai, i póki we więzieniu przebywały, dla pokrzepienia i pocieszenia współwięźniów spełniały apostolstwo miłości. Stawiono je przed sąd; tamże po raz drugi domagano się od nich natarczywie złożenie przysięgi, lecz one, wzorując się na stałości dawnych męczenników, stale odmowną dawały odpowiedź; z tego powodu skazano je na śmierć. Wyrok śmierci natychmiast wykonany został. W drodze na miejsce stracenia odmawiały Różaniec i Godzinki o Najświętszej Marji Pannie i odbywając jakoby tryumfalny pochód, pełne niebiańskiej rozkoszy, śpiewały hymn: Ave, maris stella, Witaj, gwiazdo morza. Jedna po drugiej złożyły szyję pod topór i uleciały do niebieskiego Oblubieńca na gody weselne; na ostatku wstąpiła na rusztowanie przełożona Marja Magdalena Fontaine. Zanim jednak schyliła głowę pod miecz, wygłosiła dziwne proroctwo; mianowicie wobec zebranego ludu zapowiedziała, że ona i jej towarzyszki będą ostatniemi ofiarami kata; proroctwo to sprawdziło się istotnie. Bowiem Siostry Miłosierdzia były rzeczywiście ostatniemi ofiarami owego okrutnego prześladowania w mieście Cambrai. To ostatnie stracenie Córek Miłosierdzia dokonało się dnia 26 czerwca roku 1794.

Po tej drogocennej w oczach Bożych śmierci pobożnych dziewic, która, jak mówi św. Cyprjan, „kupiła nieśmiertelność za cenę krwi i odzierżyła wieniec za dokonanie męstwa", rozeszła się w narodzie wieść o męczeństwie

Smierć Sióstr Miłosierdzia, nawet poważni dziejopisarze uznali za prawdziwe i formalne męczeństwo, i zaczęto je same poczytywać i czcić jako męczenniczki Chrystusowe, zamordowane z nienawiści ku wierze świętej. Przeto wszczęto kościelny proces o oddawaniu im czci takiej, jaka należy się Błogosławionym Męczennikom, w łonie Kongregacji Świętych Obrzędów i w Kurji biskupiej dyecezji Cambrai, w obrębie której te dwa zastępy dziewic osiągnęły palmę męczeńską; wstępne kroki ukończono i po wszechstronnem zbadaniu sprawy Poprzednik Nasz, śp. Ojciec św. Pius X., dnia 29 maja roku 1907 podpisał dekret, wprowadzający sprawę beatyfikacji. Zaraz postawiono pytanie co do męczeństwa i przyczyny męczeństwa, i gdy po czterokrotnej rozprawie doszło się do pewności, że zgładzenie tych pobożnych dziewic nastąpiło głównie z powodu nienawiści do imienia chrześcijańskiego i że wyznanie wiary było jedynym jego powodem, wtedy My, w dekrecie wydanym dnia 6 lipca roku 1919, ogłosiliśmy, że istnieje pewność co do męczeństwa i powodów męczeństwa wielebnych sług Bożych Marji Magdaleny Fontaine i jej trzech towarzyszek. Zaszedł przytem ten szczęśliwy zbieg okoliczności, że dekret stwierdzający męczeństwo czterech Sióstr Miłosierdzia, ujrzał światło dzienne w owym właśnie dniu, w którym wydano inny dekret, w którym ogłoszono, że bezpiecznie można oddawać cześć, należną Błogosławionym mieszkańcom nieba, współzałożycielce Zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia, wielebnej słudze Bożej Ludwice de Marillac. Co do znaków, czyli cudów, udzielono dyspensy. Kiedy więc miano pewność co do męczeństwa, potrzeba jeszcze było, aby zapytano się o zdanie Kardynałów Kongragacji Obrzędów Świętych i Konsultorów, czy wobec pewności męczeństwa i przyczyny męczeństwa i wobec dyspensy od znaków czyli cudów, zdaniem ich można śmiało przystąpić do uroczystej tychże Sług Bożych Beatyfikacji. Pytanie to postawił Czcigodny Nasz Brat Kardynał Wincenty Vannutelli, biskup Ostyeński i Prenestyński, dziekan świętego Kollegium, referent sprawy, na ogólnem

zebraniu, odbytem w Naszej obecności w pałacu Watykańskim dnia drugiego grudnia roku ubiegłego; wszyscy Najczcigodniejsi Kardynałowie, tudzież obecni tamże Ojcowie Konsultorowie, jednogłośnie przytakującą dali odpowiedź. My jednakże w tej tak niezmiernie ważnej sprawie odłożyliśmy wypowiedzenie Naszego zdania na później, póki u Ojca światłości nie uprosimy pomocy niebiańskiej mądrości. Wreszcie po usilnych modłach, w ostatnim dniu lutego bieżącego roku, mianowicie w drugą niedzielę wielkopostną, po skończonej ofierze Eucharystycznej, w obecności zebranych dookoła Naszych Czcigodnych Braci: Świętego Rzymskiego Kościoła Kardynała Antoniego Vico, Biskupa Portueńskiego i kościoła świętej Rufiny, Prefekta Kongregacji Świętych Obrzędów, tudzież Świętego Rzymskiego Kościoła Kardynała Wincentego Vannutelli, Biskupa Ostyeńskiego i Prenestyńskiego, Dziekana świętego Kolegium, Referenta sprawy, wraz z ukochanymi naszymi synami Aniołem Mariani, Promotorem Wiary generalnym oraz Aleksandrem Verde, tejże Kongregacji Świętych Obrzędów Sekretarzem, uroczyście orzekliśmy, że śmiało przystąpić można do uroczystego ogłoszenia Beatyfikacji wymienionych poprzednio sług Bożych. W takim stanie rzeczy, gdy ponadto skłoniły nas do tego kroku prośby Misjonarzy świętego Wincentego a Paulo i Sióstr Miłosierdzia, My, Władzą Naszą Apostolską, niniejszem pozwalamy, aby czcigodne sługi Boże Marja Magdalena Fontaine i trzy Towarzyszki, mianowicie Marja Franciszka Lanel, Franciszka Fantou i Joanna Gerard, ze Zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia, w przyszłości nosiły tytuł Błogosławionych i by ich ciała czyli relikwie, których jednakże nie wolno obnosić w publicznej procesji, wystawione były ku publicznej czci wiernych, a wizerunki ich ozdobione aureolą. Nadto mocą tejże Naszej władzy pozwalamy, aby o nich odmawiano officium i odprawiano mszę świętą „de Communi Martyrum“ według rubryk rzymskiego Mszału i Brewiarza. Rzeczone officium wolno odmawiać, a względnie mszę św. odprawiać, z tem zastrzeżeniem: w dyecezjach

Cambrai i Arras i w tych, w których one się urodziły, tudzież we wszystkich kościołach i domach, gdziekolwiek na całym świecie się znajdujących, które należą do Misjonarzy św. Wincentego a Paulo i Sióstr Miłosierdzia, oraz w miejscowościach, gdzie owe dziewice spełniają swe powinności; pozwolenie to daje się wszystkim wiernym, świeckim i duchownym, którzy zobowiązani są do odmawiania pacierzy kapłańskich, a co do mszy św. to kapłanom, przybywającym do kościołów, w których obchodzi się święto owych Błogosławionych. W końcu dajemy pozwolenie, aby uroczystości beatyfikacyjne tych sług Bożych odbyły się z officium i mszą św. wedle rytu t. zw. duplex majus i pozwolenie to rozciągamy na wymienione dyecezje oraz kościoły czy oratorja, które wyliczyliśmy, w dniu, który oznaczy biskup miejscowy przed upływem jednego roku, skoro ta uroczystość odbędzie się w Patrjarchalnej Bazylice Watykańskiej. Tym naszym pozwoleniom nie stoją na przeszkodzie żadne uchwały ani rozporządzenia ani dekreta „o nie oddawaniu czci", ani żadne inne. Chcemy nadto, aby także wszystkim wydrukowanym kopiom niniejszego pisma dano nawet w rozprawach sądowych tę samą wiarę, jaką miałby oryginał, gdyby go pokazano, byleby tylko miały podpis Sekretarza Kongregacji Świętych Obrzędów i pieczęć Prefekta tejże Kongregacji.

Dan w Rzymie u świętego Piotra pod pierścieniem Rybaka, dnia 13 czerwca roku 1920, Pontyfikatu Naszego roku szóstego. *Kard. Gasparri, Sekretarz Stanu.*

Ekshumacja.

NB. Pewna Siostra, która była obecna przy ekshumacji, podała dokładny opis jej przebiegu. (Cfr. Annales 1920, str. 334).

Na wtorek, 6 kwietnia zapowiedział się kardynał i punktualnie przybył o godz. 9½. Udał się do zakrystji a z nim O. Generał, księża z domu św. Łazarza, Matka generalna,

Siostry urzędniczki, S. dyrektorka Chesnelong, pierwsza sekretarka S. Ribiollet, czterech lekarzy i komisarzy policyjnych. W zakrystji stawiał pytania w sprawie zwłok bł. Matki.

Zwracając się do Matki Generalnej, zapytał: „Czy Matka Generalna wie, gdzie się znajduje ciało waszej założycielki?“ — „Tak jest Eminencjo; znajduje się w naszej kaplicy, blisko stopni“. „Czy Matka Generalna wie coś o tem, czy je stamtąd wyjmowano?“ — „Wiem z opowiadania Sióstr, które miały szczęście być przy pierwszej ekshumacji, że jej trumnę otwarto 29 marca 1905 r. z okazji procesu beatyfikacyjnego“.

To zeznanie spisano, przeczytano i potem podpisała je Matka Gener. i zaprzysięgła. W tensam sposób zeznawała S. Chesnelong. Robotnicy również zeznawali i składali przysięgę.

Po godzinie 10 kardynał zszedł do kaplicy z klerem, komisją lekarską, z komisarzem policji i Siostrami wzwyż wymienionemi.

Już w rannych godzinach załatwiono przygotowania. Ławy boczne były usunięte. Przed balaskami rozłożono dywan. Przed grobowcem fotel dla kardynała, z boków dla ks. biskupa Fabrègues (wik. apost. Czeli w Chinach) jeden, a dla O. Generała drugi.

Z pośród XX. Misjonarzy byli obecni: nasz czcigodny X. Dyrektor, X. Planson, Veneziani, Bettembourg, Robert, Narguet, Bogaert, Misermont, Caussanel, Mott i inni.

W pierwszym szeregu ławek po stronie ewangelii były: Najczcigodniejsza Matka, Siostry urzędniczki, trzy siostry dyrektorki, pierwsza i druga sekretarka; potem kilka dawniejszych urzędniczek; za niemi cztery Panie Miłosierdzia. Dalej wizytatorki i siostry służebne, które przybyły na rekolekcje z dalszych prowincji: z Ameryki środkowej, Argentyny, Brazylji, Ekwadoru, Stanów Zjedn., Peru, Turcji i kilka sióstr służebnych z Paryża, pierwsze urzędniczki domu macierzystego. Trybuny były przepełnione. Chórek, gdzie zwykle były śpiewaczki, teraz zarezerwowano dla sióstr z seminarjum.

Sprawę rozpoczęto czytaniem aktu łacińskiego a potem francuskiego o stanie zwłok z r. 1905; czytał X. Lanier, sekretarz kardynała, przy nim stał X. Misermont, służąc informacjami w każdej chwili.

Po czytaniu przypomniał kardynał ekskomunikę na tych, którzyby się odważyli zabrać cośkolwiek z resztek Wielebnej, choćby nawet z pobudek pobożności.

Nastąpiło otwarcie grobu. Trzech robotników pana Brunet usunęło 4 kamienie, otaczające płytę marmurową, potem i tę z wielkim trudem. Teraz było widać wnętrze, zasypane sproszkowanym gipsem i grubą warstwą węgla. Dwu robotników prędko to usunęło, przyczem sprawnie pomagał brat Hupert.

Wreszcie wydobyto trumnę. Zewnętrzna osłona czarna ją ochraniała i jeszcze druga biała; na niej były ślady węgla, ale materja biała z krzyżem wyszywanym w wierzchnej części, była nietknięta.

Drogą tę trumnę postawiono na stole przed Eminencją, gdzie stwierdzono jej rozmiary. Trudniej było stwierdzić tożsamość pieczęci. Dopiero po tej czynności pan Brunet odkręcił śrubki, któremi wieko trumny było przytwierdzone, a brat Hupert przyniósł białe nosze i cztery komże. XX. Bogaert, Pawang, Fayollat i Constant je przywdziali, aby potem nieść relikwie wielebnej.

Wtedy kardynał zwracając się do chóru, zażądał, aby śpiewano psalmy officium. Tego nie przewidziano, dlatego zeszło parę minut, zanim psalmodja się zaczęła; śpiewano Dixit Dominus i Laudate pueri, a równocześnie utworzyła się procesja do sali rekolekcyjnej. Przed relikwijami szły Siostry, za relikwijami lekarze, duchowieństwo i Eminencja.

Wygląd sali rekolekcyjnej był niezwykły. Zielone wawrzyny zakrywały ołtarz. Wszystkie ławki między ławką urzędniczek a obu filarami były usunięte, tak, że powstała znaczna przestrzeń wolna. Ławkę tę zarezerwowano dla Wizytatorek, a przed nią umieszczono trzy fotele, dla kardynała, ks. bisk. Fabrègue i O. Generała i parę krzeseł dla Matki

Gen. i Sióstr urzędniczek. W środku stół, a przy nim lekarze. Obok mały stolik z pendzlami, szczypczykami, nożyczkami i zwojami nici srebrnych. Pod portretem św. Wincentego stolik z skrzyneczkami, przeznaczonemi na cząstki relikwij. Pod portretem Wielebnej Matki duże paki waty. Przy osobnym stoliku zasiadł sekretarz do protokołu.

W półkolu od ołtarza aż do stołów ustawiło się ze 100 Sióstr ze świecami w ręku.

Nastąpiło rozpoznanie relikwij. Wyjęto je z trumny, lekarze pp. Didier i Lesourd zajęli się rekonstrukcją szkieletu, a kilku Misjonarzy równocześnie zadość czyniąc pobożnym życzeniom Sióstr dotykało relikwij, szczególniej czaszki, medalikami, koronkami, obrazkami. Po stwierdzeniu, że dzisiejszy stan zwłok odpowiada opisowi z 1905 r., medycy oddzielili: dla Rzymu lewą łopatkę i 4 żebra, dla Eminencji trzy kości w tem jedno żebro, dla relikwiarza łopatkę prawą, 7 cząstek z kości i 18 żeber, 2 cząstki mostka i resztki nóg i goleni. Pozatem w kośćcu pozostała czaszka, stos pacierzowy, miednica, ramiona i uda. Zwracała uwagę szczególniej czaszka i zdawało się nam, że jest duża.

Wszystkie kości pospajano nićmi srebrnemi. Potem cały szkielet owinięto partjami w watę i białą materję jedwabną i głowę także zawinięto w biały jedwab. Wszystko owiązano wstęgą, zaopatrzoną w pieczęcie arcybiskupie.

Po załatwieniu pracy medyków, złożono ciało w trumnę, w której swojego czasu przewieziono z Belgii ciało św. Wincentego. Ci sami, co przedtem Misjonarze, ubrani w komże, zanieśli je na ramionach do izby św. Rafała na pierwsze piętro. Siostry ze świecami w ręku poprzedzały.

Tu, na stole, nakrytym białym obrusem, miało pozostać aż do chwili, kiedy dostanie się pod ołtarz w kaplicy pod wezwaniem naszej drogiej Błogosławionej, gdzie córki jej będą ją mogły czcić tak, jak u św. Łazarza czczą bł. Ojca.

Kiedy Siostry z zakrystji zbierały starannie okruszynki kości, które pozostały po operacji, a X. kanonik Clement pieczętował wstążkę czerwonego jedwabiu, którym obwiązał

relikwije rezerwowane, Eminencja, który z zainteresowaniem ogromnem przypatrywał się pracy doktorów, udał się z O. Generałem do pokoju św. Rafała, aby oddać pokłon resztkom wielebnej Matki i błogosławieństwo jej córkom.

Zrobiło się południe, kiedy się ceremonja skończyła. Dzięki Siostrom zakrystjankom i Siostrom z ekonomatu, które wszystko przewidziały i przygotowały, ceremonja miała przebieg gładki i miły.

Uroczystość beatyfikacji w Rzymie.

(Według Osservatore Romano (9 i 10 maja 1920) i Annales r. 1920, str. 346).

W niedzielę 9 maja odbyła się w bazylice watykańskiej uroczystość beatyfikacyjna wiel. Ludwiki de Marillac współzałożycielki Sióstr Miłosierdzia.

W głębi absydy liczne szeregi lamp elektrycznych budzą efekt i rzucają światło na obraz przedstawiający „glorję" błogosławionej.

Naokoło absydy są trybuny dla domów panujących, dla rycerzy maltańskich, dla ciała dyplomatycznego, dla rodziny Ojca św., dla patrycjatu rzymskiego, dla Sióstr Miłosierdzia i dla księży Misjonarzy.

Wstęp do św. Piotra jest dla publiczności wolny, a bezpieczeństwa publicznego pilnują karabinierzy i policja włoska.

W absydzie są miejsca przygotowane dla kardynałów i urzędników kongregacji obrzędów, dla kapituły i kleru watykańskiego, dla postulatorów. Pod lożami św. Heleny i św. Weroniki znajdują się obrazy, przedstawiające cuda, uznane dla sprawy beatyfikacji.

Inny obraz, przedstawiający „glorję" błogosławionej jest zewnątrz bazyliki pod lożą nad głównem wejściem.

Wszystkie te obrazy wyszły z pod pendzla znakomitego malarza prof. Caroselli w Rzymie.

Ceremonja.

Punktualnie o godz. 10 zajęli miejsca swoje po stronie ewangelji kardynałowie kongreg. obrz.: JEm. Vico (prefekt), Vanutelli, Boschi, Cagiano, Amette i 12 innych kardynałów. Kardynał de Cabrières, biskup z Montpellier jest również obecny.

Po odśpiewaniu Nony kapituła św. Piotra z kardynałem Merry del Val na czele, udaje się w procesji na swoje miejsca w absydzie po stronie epistoły.

Za ławkami kardynałów i kapituły watykańskiej widać już bardzo wielu biskupów i arcybiskupów, ze samej Francji przyjechało ich 22.

W trybunach specjalnych zauważyć można: Siostrę Ojca św., markizę Julię della Chiesa, deputację księży ze Zgromadzenia Misji i Sióstr Miłosierdzia, dużo miejsca zajmuje kolonja francuska i pielgrzymi z Francji.

Kiedy już wszyscy byli na swoich miejscach, prokurator gener. Zgromadzenia Misji przy Stolicy Św., X. Ricciardelli w towarzystwie Mgr. Verde, sekretarza kongr. obrz., podszedł ku kardynałowi prefektowi i dając mu brewe beatyfikacyjne, prosił, by zechciał nakazać jego ogłoszenie. Wtedy z małej estrady, urządzonej w tym celu, podarchiwista kapituły przeczytał brewe, w którem Benedykt XV. oświadcza, że wpisuje Wielebną w liczbę błogosławionych.

Skoro tylko skończyło się czytanie, odsłonięto wspaniały obraz, przedstawiający „chwałę“ błogosławionej, a porwana i zachwycona publiczność dała głośny wyraz swemu entuzjazmowi.

Równocześnie odsłonięto obraz nad głównem wejściem bazyliki i dzwony uderzyły, roznosząc wieść po św. mieście. Wewnątrz Mgr. Rafał Virili, arcybiskup Ptolemaidy, postulator sprawy i kanonik św. Piotra, zaintonował Te Deum. Potem nastąpiła oratio propria błogosławionej i incenzacja jej obrazu. Tensam arcybiskup bezpośrednio potem celebrował mszę pontyfikalną o błogosławionej. Wśród tego rozdawano obrazki bł. Ludwiki i jej żywot.

W samo południe skończyła się ceremonja liturgiczna.

Udział Ojca Świętego.

Po południu wejście do bazyliki św. Piotra było tylko za biletami. Wprowadzanie gości, utrzymywanie porządku i bezpieczeństwa powierzono urzędnikom dworu papieskiego, gwardji szwajcarskiej i żandarmerji papieskiej, którzy w przepysznych strojach pełnej gali wykonują swoje obowiązki.

O godz. 5 Ojciec św. w sutannie białej, w mocecie i czerwonej stule przybywa przez salę dei paramenti, przez salę książęcą i królewską do kaplicy Najśw. Sakramentu, gdzie Go przyjmuje kardynał Merry del Val na czele kapituły, udaje się do kaplicy della Pieta, gdzie Go oczekują w czerwonych sutannach kadynałowie z dziekanem św. Kolegjum kard. Vanutelli na czele.

Benedykt XV. zajął miejsce w sedia gestatoria i pochód do bazyliki się zaczyna. Wpuszczono przed chwilką i publiczność do bazyliki. Tłumy pochylają się w religijnym szacunku przed namiestnikiem Chrystusowym, gwardja szwajcarska, pałacowa i żandarmerja prezentują broń. Pochód przez nawę główną, dalej obok statuy św. Piotra zbliża się do ołtarza, ustawionego w absydzie. Ojciec św. schodzi z sedia gestatoria i klęka. Kapelan wystawia N. Sakrament, Ojciec św. incensuje. Chór „Giulia“ śpiewa hymn (z commune non virginum), po którym następuje oratio propria o bł. Ludwice. W czasie Tantum ergo Ojciec św. ponownie incensuje, a Mgr. Rafał Virili, arcyb. Ptolemaidy i postulator sprawy bł. Ludwiki, udziela błogosławieństwa Najśw. Sakramentem.

A oto zbliżają się: O. Verdier, generalny przełożony XX. Misjonarzy, Matka Maurice, przełożona gener. Sióstr Miłosierdzia i X. Ricciardelli do Ojca św., aby Mu ofiarować bogaty relikwjarz bronzowy, posrebrzany i pozłacany, zawierający cząstkę relikwji błogosławionej. Razem z relikwjarzem otrzymał Ojciec św. tradycyjny bukiet sztucznych kwiatów, obrazki i życie błogosławionej we wspaniałej oprawie. Również rozdano obrazki i żywot błogosławionej kardynałom, bardzo licznym arcybiskupom i prałatom obecnym.

rodzinie Ojca św., ciału dyplomatycznemu, szlachcie i innym zaproszonym.

Po skończonej ceremonji pochód w tymsamym porządku, co przedtem, wraca do Watykanu.

W tej ceremonji popołudniowej oprócz rodziny Ojca św. wzięli udział: rycerze zakonu maltańskiego, ciało dyplomatyczne, patrycjat i szlachta rzymska, reprezentacje i deputowani, którzy rano byli na uroczystości beatyfikacyjnej, pielgrzymi francuscy i ogromne mnóstwo publiczności tak z Włoch, jak i z zagranicy.

W nocy światła rzęsiście oświetlały fasadę św. Piotra.

Trzydniowa uroczystość beatyfikacyjna w Krakowie.

Od pierwszych nieszporów w sobotę 23 października zaczęły się uroczystości beatyfikacyjne w domu centralnym Sióstr Miłosierdzia w Krakowie. Kościół w miarę był przystrojony, rzęsiście oświetlony, a nad głównym ołtarzem wznosił się obraz bł. Ludwiki w „chwale“, wykonany przez prof. Witwickiego, w bocznym zaś ołtarzu bardzo skromny obraz bł. Męczenniczek.

Przed nieszporami X. biskup Nowak wprowadził relikwje bł. Matki do kościoła, poczem X. Szymbor odczytał z ambony brewia apostolskie o beatyfikacjach obu i nastąpiły nieszpory, śpiewane na głosy przez kleryków naszych z Stradomia. X. biskup Nowak celebrował.

W niedzielę, poniedziałek i wtorek odprawiały się msze św. bez przerwy od 5 g. aż do sumy, przeciętnie po 20. Wotywy śpiewane odbywały się codziennie o godz 8-mej; w niedzielę X. Bączkowicz, w poniedziałek X. Wizytator, we wtorek X. Dihm. Odprawialiśmy msze św. i nieszpory jako duplex 1 cl. pierwsze dni o bł. Ludwice, a od poniedziałkowych nieszporów począwszy o bł. Męczenniczkach.

Sumę w niedzielę celebrował książę biskup Sapieha pontyfikalnie. X. kan. Korzonkiewicz powiedział kazanie

o bł. Ludwice w tonie pociągającej, serdecznej, szlachetnej prostoty. Na nieszporach, odprawionych przez archipresbitera P. Marji X. Wądolnego przykuwało uwagę słuchaczy w po brzegi wypełnionym kościele kazanie X. Wizytatora na motto „Fortem virili pectore laudemus omnes feminam" z hymnu kościelnego; wskazywał naprzód na męstwo, potem na miłość jej i równocześnie dowodził, że męstwo i miłość w stopniu heroicznym prowadzą do męczeństwa, a więc Matka o takiem męstwie i takiej miłości musiała w córkach swoich doczekać się Męczenniczek.

W poniedziałek znowu punktualnie o godz. 10 zaczęła się suma pontyfikalna, odprawiona przez bisk. kamienieckiego, X. Mańkowskiego. O. Markiewicz, magister nowicjuszów zakonu kaznodziejskiego stawiał bł. Ludwikę jako wzór miłosierdzia chrześcijańskiego, domagając się cech jej miłosierdzia w działalności charytatywnej naszej epoki powojennej.

Dotąd msze, nieszpory i kazania odnosiły się do bł. Ludwiki. Nieszpory poniedziałkowe już odbyły się w przepysznych paramentach czerwonych o bł. Męczenniczkach. Odprawił je znowu archiprezbiter P. Marji X. Wądolny, a kazanie starannie przemyślane, głęboko ujęte a z prostotą wypowiedziane miał O. Rostworowski na tekst: Jesus Christus heri et hodie, ipse et in saecula. (Hebr. XIII. 8). Porównywał Męczenniczki do dawniejszych męczenników świętych i zaakcentował trzy myśli: 1) że one stanęły wobec innych wrogów (tam pogaństwo w Rzymie, Japonji etc., lub herezje, tu naturalizm rewol. franc.); 2) że męczeństwo ich dokonało się na inny sposób, nowy sposób (tam tragiczne momenty a nawet liczne cuda dodają blasku męczennikom, tu takie wszystko zwykłe, przeciętne, bez wszelkiej dekoracji, jakgdyby Bóg uszanować chciał tę prostotę, którą św. Wincenty tak wpajał w swoje Zgromadzenie), a 3) że tylko tam i tu Jezus Chrystus wczoraj i dziś, tensam i na wieki.

W trzecim dniu sumę i nieszpory celebrował o bł. Męczennikach X. biskup Nowak. Kazanie na sumie powiedział X. kanonik Ślepicki na motto z Objawienia św. Jana: „Wi-

działem pod ołtarzem dusze pobitych dla słowa Bożego i dla świadectwa, które miały. I wołały głosem wielkim, mówiąc: Dokądże Panie święty i prawdziwy, nie sądzisz i nie mścisz się krwie naszej nad tymi, co mieszkają na ziemi"? (Apoc. VI. 9, 10) — a w popołudniowem kazaniu O. Janicki, prowincjał OO. Reformatów, mówiąc wogóle o męczeństwie, potem o męczennikach polskich, zakończył apelem do dzisiejszego społeczeństwa polskiego, wskazując na potrzebę wyzbycia się wad narodowych.

Przez wszystkie trzy dni ceremonje wykonywane były przez naszych kleryków ze Stradomia; śpiew po części przez nich, a po części przez chór z Sióstr złożony.

Uroczyste Te Deum zakończyło te piękne nabożeństwa, które zapewne dużo chwały Bogu przyniosą, a niejednej duszy zbawieniem będą.

X. W. S.

Misje w czasie wojennym.

(C. d.)

I. W Ziemi Lubelskiej 1916 r.

1. Oszczów 3—8. IV; 2. Hrubieszów 9—19. IV; 3. Trzeszczany 23—27. IV; 4. Horodło 27. IV. — 2. V; 5. Dubienka 2—7. V; 6. Uchanie 7—13. V; 7. Grabowiec 14—21. V; 8. Zamość 1—9. VI; 9. Mokrelipie 10—17. VI; 10. Szczebrzeszyn 18—25. VI; 11. Goraj 25—30. VI; 12. Krasnobród 1—9. VII; 13. Radzięcin 9—13. VII; 14. Frampol 14—18. VII; 15. Wieloncza 1—8. X.

Wracając po misjach i rekolekcjach odprawionych w Poznańskiem zatrzymałem się w Krakowie tylko parę godzin, jedynie po to, aby zabrać co najkonieczniejsze i czemprędzej dalej podążyć. W piątek rano wyjeżdżałem z Poznania, w sobotę byłem już w Sokalu, w niedzielę miała się zaczynać misja w Oszczowie, w Ziemi Lubelskiej (wtedy jeszcze Guberni Lubel.). W Sokalu miałem się spotkać z X. Jakóbem Koniecznym i X. Dudkiem. Ale już ich nie było. Pojechali naprzód. Spojrzawszy więc na straszne zgliszcza i gruzy, które Sokalowi pozostały na pamiątkę po kozackiem panowaniu i ofenzywie jener. Mackensena, spieszyłem za nimi. Sądziłem, że zastanę ich w Warężu, ostatniej miejscowości galicyjskiej na pograniczu między Królestwem a Galicją. Ale i stąd już byli wyjechali. Byłem już więc spokojny, że choćby mnie się przytrafiła jakaś przygoda, o którą w czasie wojennym wcale nie trudno, to przecież moi komilitoni staną na czas na posterunku, słowa się dotrzyma, misja się odbędzie.

Sam jechałem dalej co chwila potykając się o drobiazgowe przepisy wojenne. Że jednakże miałem pismo z najwyższej komendy wojskowej, gładko mnie przepuszczano wszędzie. Ślady wojny jeszcze nie zatarte. Wzdłuż i w poprzek drogi, w polach i lasach głębokie rowy strzeleckie, ziemia zryta granatami, olbrzymie przestrzenie odłogiem leżą, tu i ówdzie pług rolnika zawrócić musiał przed zasiekami z drutów kolczastych. Śniegi stajały i spłynęły, gdzieniegdzie tylko w głębokich dołach trzymały się białemi płatami. Z pod śniegów wypełzały białe szkielety końskie, resztki tornistrów, szczątki połamanych wozów trenowych. Młode słońce wiosenne złotemi blaskami nakrywało tę hańbę kultury ludzkiej i zieleń wywabiało z ziemi stratowanej. Już wcale wysoko stanęło na niebie, kiedy wreszcie dojechałem do *Oszczowa*.

Pusto we wsi. Wszystko w kościele. Daleko na wieś niósł się dźwięk głosów ludzkich i organów. Zrazu niewyraźnie, potem coraz dokładniej rozróżniłem melodję, aż wreszcie zerwała się wichura głosów w pieśni „Przed tak wielkim Sakramentem". Misja już była zaczęta. X. Konieczny i X. Dudek już byli w kościele. Choć to wczesna wiosna, pogoda nam sprzyjała tak, że prawie wszystkie kazania prawiliśmy na cmentarzu kościelnym. Na kazaniach byli wszyscy, do spowiedzi św. również dostali się wszyscy. Z obcych parafii nie było napływu. To się niektórym księżom niepodobało, bo w ich przekonaniu odpust, misja, nabożeństwo kościelne wtedy mają powodzenie, kiedy zbiegowisko z całego świata, ścisku dużo, hałasu jak na jarmarku. Za to nam to najzupełniej odpowiadało, bo skoro się ma tychsamych słuchaczy przez dłuższy czas, wtedy dopiero może być mowa o oddziaływaniu na nich rozumnem i systematycznem. Dlatego też doświadczenie po raz, już nie wiem który, poucza, że najlepszy owoc wydają misje wyłącznie parafjalne, w których wyklucza się kategorycznie obcych parafjan tak z kazań jak ze spowiedzi. W pracy naszej szło, jak zawsze, o naprawienie złego i o utwierdzenie dobrego. Ale zastosowanie zasad odwiecznych do zmiennych warunków życia ludzkiego

wobec stanu wojennego przybrać musiało z konieczności rzeczy zupełnie inne rozmiary i kształty. Gdzie wojna grasowała, tam rabunki nie są tajemnicą, tam zdziczenie młodzieży jest niemal plagą powszechną, tam obniżenie poziomu moralności jest widoczne i związki rodzinne ulegają rozluźnieniu, tam wskutek biedy i cierpień wytwarza się zniecierpliwienie, zdenerwowanie, które objawia się w pewnego rodzaju radykaliźmie, a ten czepia się i tego, co dotąd każdemu było święte, więc księdza, Kościoła, wiary. To i tu zastaliśmy. A wszystkie te objawy tem łatwiej urastać mogły, że natrafiły na grunt podatny. Nazywam go podatnym o tyle, że lud moralnie i intelektualnie niewyrobiony; intelektualnie, bo aż 70% analfabetów stwierdziłem; moralnie, bo któż go miał moralnie wyrabiać? Żandarm rosyjski? To są kpiny! Szkoła? Tej nie było! Dwór? Zawsze mu zależało tylko na wartości mięśni. Został ksiądz i Kościół. Jaką swobodę ruchów w działalności rząd rosyjski mu przyznawał, wiadomo. Że ten ludek nasz mimoto jest tak wrażliwy na rzeczy Boże, to chyba jedynie stąd, że to taka prawdziwie anima naturaliter christiana; innego wytłómaczenia nie znajduję.

Po Oszczowie, czekała nas misja *w Hrubieszowie*, znanym w historji stąd, że w 1 podziale Polski 1772 r. Hrubieszów stanowił północny punkt graniczny zaboru austrjackiego; granica od Hrubieszowa na południe szła wzdłuż Bugu a na południowy zachód szła na Zamość, ujście Sanu do Wisły i t. d. Inna rzecz, która rozsławiła imię Hrubieszowa, to czyn wspaniałomyślny St. Staszica, który po raz pierwszy w dziejach Polski i wogóle w dziejach świata wystąpił gwałtownie z myślą uwłaszczenia włościan w „Uwagach nad życiem Jana Zamojskiego“ a potem jeszcze raz w „Przestrogach dla Polski“; postanowił też zrobić próbę na własną rękę i w zakupionej przez siebie Hrubieszowczyźnie oddał chłopom ziemię na własność. Chciał dać dobry przykład drugim i czyn ten jego nie poszedł na marne, bo kiedy po latach hasło uwłaszczenia rozległo się na nowo, powoływano się na Staszica, jako na tego, który myśl

usamowolnienia włościan potrafił już dawno wprowadzić w życie.

Mieliśmy do *Hrubieszowa* drogi 35 wiorst traktem pocztowym. Że jednak było pogodnie, więc woźnica nasz ani nie myślał o tem, aby tamtędy bose konie prowadzić, ale obrał „polskie drogi“, wzdłuż lewego brzegu Bugu, choć musieliśmy w ten sposób nadłożyć najmniej wiorst 15. Mieliśmy sposobność przypatrzeć się całej grozie zniszczenia wojennego. W Kryłowie zatrzymaliśmy się na pół godziny u księdza. Miasteczko leży na Bugiem. Cofając się w lipcu 1915 r. moskale podpalili miasto a jeszcze z poza Bugu ostrzeliwali się niemcom. Wśród gruzów miasteczka sterczały tylko kominy. Plebania również spłonęła a ksiądz zamieszkał obecnie w odosobnionym domku mieszczanina kryłowskiego. W drodze spotykaliśmy wszędzie spaleniska. Każda wieś gruzami i rumowiskiem zasypana: Kosmów, Ślipcze, Czumów, wymarły, a tylko tu i ówdzie ktoś grzebie w gruzach. Na całej przestrzeni kilkudziesięciu kilometrów, którą przebyliśmy wzdłuż rzeki, cały Bug literalnie odrutowany. Ludzi spotykaliśmy w drodze bardzo mało, a już parę godzin upłynęło. Już wieczór zapadał a nam daleko jeszcze było do Hrubieszowa. Mimowoli wśród tej krainy śmierci budziły się uczucia niepewności. Już ciemno było, choć oko wykól, kiedy wreszcie nasz wóz wjechał na bruk z kocich łepków i dygotać zaczął, że dzwoniliśmy zębami i równocześnie niemal zatrzymał nas odwach c. k. okupacji pytając o legitymację. Byliśmy w mieście. Mocno trąci Azją.

Parafja Hrubieszów duża, bo liczy 6900 dusz, dlatego też poświęciliśmy jej dużo czasu, bo sama misja trwała od 9—19 kwietnia, a oprócz tego zostaliśmy tu przez 3 dni wielkiego tygodnia, by jeszcze niedobitkom dać sposobność do spowiedzi św. Toteż było spowiedzi 5200 a komunii 20 000. Komunia św. częsta wiele nam pociechy sprawiła. Wieść o niej tu nie była dotarła. Duże więc oczy robili uczestnicy misji, kiedyśmy ich zachęcali do niej i parę razy trzeba im to było powtarzać, bo za pierwszym razem

trudno im było uwierzyć; znać było, że uważali to za zwyczajną hiperbolę oratorską. Dopiero kiedyśmy im nieustannie powtarzali, że po jednej spowiedzi przez 2, przez 3 dni i cały tydzień i więcej mogą chodzić do komunii św., wreszcie uwierzyli i korzystali z pozwolenia z gorącością istot pierwotnych.

Na pierwszy rzut oka zauważyliśmy także ogromną nędzę materjalną. To też dałem im poznać męża, który dla wszelkiej nędzy czułe miał serce, św. Wincentego i pragnąłem wzbudzić w ich duszach gorące nabożeństwo do niego. A potem dowiadywałem się, czy istnieją konferencje św. Wincentego lub Panie Miłosierdzia. Tego niema. Ale jest „Komitet Ratunkowy", który w związku z „Radą Opiekuńczą" w Warszawie działa na całą Polskę. Tu całym Komitetem Ratunkowym jest miejscowy X. dziekan Melchior Juściński, który, choć Stasziców w Hrubieszowie niema, bardzo dużo energii wkłada w pracę dobroczynną i, przyznać trzeba, bardzo owocnie pracuje. Pomagał mu w tem wikary, X. Jan Sadowski, który znowu przedewszystkiem pracuje w szpitalu i chorym się oddaje. Byłem na tyle szczęśliwy, że mając grosz z Poznańskiego, mogłem cokolwiek przyczynić się do poratowania nędzy.

Jeden dzień wyznaczyłem na zaopatrywanie chorych. Wtedy mogłem się przekonać o bezgranicznej nędzy w domach, a oprócz tego, jak strasznie wśród tej biedy grasowały choroby zakaźne: cholera i tyfus. Położenie to tem fatalniejsze, że na cały powiat nie było ani jednego lekarza, a tylko lekarz wojskowy austrjacki, oczywista, o ile mu wojskowe zajęcia na to pozwalały, odwiedzał czasem chorych cywilnych.

Kościół parafjalny, w którym misje głosiliśmy, należał dawniej do OO. Dominikanów, a klasztór ich dawniejszy, stojący za kościołem obrócono dziś na gimnazjum. Naprzeciwko frontu kościoła, tylko przez drogę, stoi nowa cerkiew prawosławna. Wszyscy moskale, urzędnicy i cywilni, uciekli razem z wojskami, ale ten i ów przecież został, i — przy-

szedł czasem posłuchać kazań misyjnych. Zgłaszali się do wyznania wiary.

Byliśmy w Hrubieszowie zaledwie w parę miesięcy po wyparciu wojsk rosyjskch, ale generalna komenda austrjacka już znalazła czas na robienie polityki pełnej afektu dla ukraińców. Na wszystkie strony komendy lokalne i powiatowe dopytywały się o rusinów, spisywały ich statystykę i na gwałt wmawiały w ludzi, że są rusinami. Ni stąd ni zowąd znaleźli się agitatorzy, o których nikt nie wiedział, skąd przyszli i budzili uświadomienie ukraińskie. Z patrjotyzmem budzono i uświadomienie religijne a raczej obrządkowe, insynuując spokojnym katolikom tendencje do unii. Miarkowali dobrze miejscowi Polacy, do czego zmierza ta czuła opieka austrjacka nad unią i unitami i rozumieli dobrze, że to nic innego, jak tylko odwieczna zasada habsburska: divide et impera.

Z Hrubieszowa udaliśmy się przez Sławęcin i Obrowiec do *Trzeszczan*. Obrowiec dawniej duża wieś, dziś żywej duszy w nim niema. Wszystkie chałupy spalone, spalone nawet drzewa owocowe w sadach. W Trzeszczanach zaczynaliśmy misję w sama Wielkanoc. Kościół mały, drewniany, ale nic nam to nie szkodziło, bo piękną mieliśmy pogodę, więc kazania wszystkie głosiliśmy na cmentarzu kościelnym. Ta misja same pogodne, wiosenne, słoneczne wrażenia nam zostawiła i pamiętam, że szczególniej X. Konieczny mile ją wspominał. Nie przypuszczał zapewne, że nie wiele już wspomnień misyjnych zdąży zebrać. I proboszcz i lud bardzo dodatnie robili wrażenie. X. Wacław Czechoński, jako miejscowy proboszcz, ciężkie chwile przechodził w czasie bojów. Strzelanina obustronna trwała już dłuższy czas; w najcięższe chwile chronił się w dole pod nowym, niedokończonym kościołem. Kiedy już było zadecydowane cofanie się wojsk rosyjskich za Bug, moskale kazali mu wszystko spakować i razem z nimi wyjeżdżać. Nie chciał jednakowo opuszczać kościoła, parafii. Naglili moskale tembardziej, że wiedzieli, że ludzie z parafji na

proboszcza się oglądają i tak zrobią jak on zrobi. A i im każą się zabierać. Wreszcie już trzeba było. Ale zwlekał. Pakował się, ale powoli. Wynosił na wozy, już jedzie, ale jeszcze czegoś zapomniał, wraca, każe woźnicy chwileczkę poczekać — ale tymczasem wichura wojenna przeleciała nad jego wsią, poleciała nad Bug — Trzeszczany przeszły w ręce niemieckie. W ten sposób prawie cała parafia pozostała w domu. Uciekli tylko prawosławni.

Nie widać także wśród nich takiej nędzy, jak w Hrubieszowie. Najprzód dlatego, że to wieś, a na roli zawsze coś urośnie, co przed głodem chroni; a potem i dlatego, że komenda austrjacka oddała gospodarstwa opuszczone przez schizmatyków, którzy uciekli z wojskiem carskiem, chłopom miejscowym w zarząd, tak, że i ci, którzy byli przedtem komornikami, mają teraz z czego żyć.

I tutaj zgłaszali się prawosławni do wyznania wiary.

Z Trzeszczan czekała nas przeprawa przez kraj ogniem i mieczem zniszczony. Wszędzie wioski spalone, bezludne, rumowiskiem zasypane; ziemia żyzna wygrzewa się do słońca i aż o pług się prosi, ale niema kto jej uprawić. Zrobiliśmy krótki popas w Moniatyczach na plebanii; i tu wieś to jedno spalenisko a ziemia podziurawiona lejkami od granatów. Dalej droga nasza prowadziła przez Szpikołosy, Hrebienne i Kopydłów, miljonowe, bogate dobra Chrzanowskiego. Zabudowania kilku folwarków z dymem poszły. Cofanie się wojsk na żniwa przypadło. Chrzanowskiemu kazano zabierać się do Rosji; uciekł.

Moskale uciekając, pędzili przed sobą ludność i bydło, domy i dwory podpalali, niebo i ziemię chcieli za sobą zostawić ścigającym ich niemcom; oblewali zboża w polu naftą i również podpalali. Kiedyśmy w kwietniu 1916 r. tędy przejeżdżali, bujne, świetne żniwo zeszłoroczne na pniu jeszcze stało, na olbrzymich kilkumilowych przestrzeniach, poczerniałe, pochylone, przerosłe, na brzegach popalone. Z żalem patrzeliśmy na tysiące morgów nieuprawionych i na marnowanie darów Bożych, z żalem wspominaliśmy

równocześnie tysiące biedaków, którzy nie mieli co w usta włożyć. Po długiej podróży dostaliśmy się do na pół azjatyckiego miasteczka.

Nigdy w świecie nie byłbym przypuszczał, że taka charakterystyka najwierniej oddaje główne cechy miasta *Horodła*, tak wsławionego w historji naszej unią horodelską w r. 1413, na którą zjechali się dygnitarze Korony i Litwy, by doprowadzić do zupełnego zrównania i zbratania obu narodów. Kościół, w którym ten doniosły akt się dokonał, a który wtedy był własnością OO. Dominikanów, dziś jest kościołem parafjalnym. Miasteczko to nędzne, nad Bugiem położone, robi dziś naprawdę wrażenie pogranicza Azji, kapitalnym brakiem jakichkolwiek urządzeń kulturalnych a zwłaszcza bezgranicznemi brudami w rynku, w ulicach i po prywatnych mieszkaniach. Ale jest różnica ta, że egipskie ciemności wśród mieszkańców i egipskie baranki, starannie i zamiłowaniem hodowane zapewne z obawy, by zarazki tyfusu plamistego nie wymarły, sprawiają znowu associację idearum z inną częścią świata. Wielu jednak było w Europie. Znają Warszawę, znają Włocławek, Toruń i Gdańsk. Latem bowiem są flisakami i Bugiem i Wisłą aż tam się dostają. Jeżdżą z flisakami w świat i ci, którzy w zimie są szewcami w Horodle a w lecie murarzami po wielkich miastach. Ale znaczną atrakcję wywiera też Horodło na dalszy Wschód i wielu moskali tu osiadło, tak, że prawosławny element był tu przed wojną bardzo silny, tak silny, że zaznaczały się wśród niego odcienia starowierców i raskolników. Przed wojną oczywiście, bo obecnie większość ich umknęła wraz z wojskami wgłąb świętej Rosji. Ale wpływy zostały. Może właśnie tej okoliczności przypisać należy eklektycyzm religijny, który w tym wypadku znaczy tosamo co zobojętnienie religijne. Wielu bowiem chroma na wiarę w tem lekceważącem przekonaniu, że to wszystko jedno: wiara katolicka czy prawosławie, byleby żyć uczciwie. Stąd zaś w wielu Polaków wsiąknęły wierzenia, niektóre

przynajmniej, schizmatyckie, a moskale upstrzyli prawosławie swoje naleciałościami katolickiemi. W parze z tym objawem notuję inny z życia. Rzecz gdzieindziej niepraktykowana: katolicy bez skrupułów chodzili w niedzielę o g. 10. do cerkwi prawosławnej, a o 11 g. na sumę do swojego kościoła; prawosławni również darzyli nabożeństwa katolickie nawzajem rewizytą. Na pogrzebach, chrztach, a zwłaszcza ślubach bywało się tłumnie — wszystko jedno w kościele czy w cerkwi. I srodze się zdziwili, kiedyśmy ich przekonywali, że to nie wolno.

Wyrobiły się jednakże i inne ekstremy, a mianowicie prawdziwie sekciarska nietolerancja i iście orjentalna zaciekłość wyznaniowa między adeptami różnych religij. Oprócz wzwyż wzmiankowanych, są tu bowiem jeszcze i takie, które flisacy przywieźli z świata do Horodla: marjawityzm a nawet adwentyzm. Ten i ów robi wrażenie, że z nim stoi i upada jego wyznanie, tak dalece identyfikuje swoją personę z całością wiary swojej. U tych zelotów dysputy religijne idą ponad wszystko. Tu, u szewca katolickiego, przy jego warsztacie zbiera się grupa i słucha jego wywodów, zaprawnych soczystymi anatemami przeciwko każdemu inaczej myślącemu; flisak w karczmie u żyda, wróciwszy z Warszawy, darzy swoich słuchaczy nowinkami marjawickiemi i w strzępy rwie starą wiarę katolicką, adwersarzy swoich miażdży przedewszystkiem plotkami z życia prywatnego księży; to w biurze urzędnika prawosławnego dysputuje się na temat raskoła czy starowierstwa z pogardą dla katolicyzmu a z tą pewnością siebie i arogancją rosyjską, którą mu daje przeświadczenie, że cała, wielka, święta Rosja, stoi za nim; to znowu adwentysta, pewnie także flisak lub murarz zadziwia tekstami pisma św. i tłomaczy je zupełnie inaczej niż ksiądz w kościele. Oczywiście 90 procent każdej dysputy schodzi na wymyślaniu przeciwnych wiar, ale to wymyślanie poparte nihilizmem rosyjskim, przybiera takie ordynarne formy, że niczego się nie uszanuje. Toteż nigdzie

chyba nie jest ksiądz narażony na tak bczecną szarpaninę czci jak tu.

Możemy mówić o świetnem powodzeniu misji, bo z nadzwyczajną gorącością ducha spieszyli na wszystkie kazania i nabożeństwa misyjne i z całej duszy się nawracali z adwentyzmu, z marjawityzmu, z naleciałości schizmatyckich, z obojętności w wierze, a i prawosławni się nawracali i prosili o wyznanie wiary.

A tembardziej podziwiać musieliśmy ich zapał, że trudności nam nie brakło. Pierwsza polegała na tem, że Horodło wogóle do władców swoich szczęścia nie miało. Przed laty dawnymi namioty swoje tu rozbił nieboszczyk Batu-han wnuk cnego Dżyngis-hana i rządził po swojemu. Później przechodziło z rąk do rąk w kolei wieków, zawsze nękane. Wreszcie w ostatnich dniach tronem w Horodle zawładnął, ster rządów ujął i jako samodzierżca bezwzględnie rządził jako pan życia i śmierci, pan N., kapitan c. i k. wojsk austrjackich, komendant miejscowy. Ten następca Batuhana w rządach horodelskich zaraz w pierwszym dniu misji, z okazji pierwszych nieszporów, po nabożeńswie otoczył rynek wojskiem, a kiedy ludzie wychodzili z kościoła, wyłapywał gwałtem młodych i zdrowych mężczyzn i posyłał do przymusowych robót, nikt nie wiedział, dokąd. To naturalnie odstraszało mężczyzn od chodzenia do kościoła i panikę szerzyło w czasie misji.

Na drugi dzień nawet „Ortskommandant“ przybył na plebanję i ks. proboszczowi Józefowi Śmiecińskiemu kategorycznie zabronił dalszego odprawiania misji, a nawet parę wyrażeń wypowiedział pod adresem misjonarzy takich, które ubliżały tak sprawie jak osobom.

Nie kładę tego na karb najwyższej komendy, bo ta rzeczywiście z uznania godną liberalnością dała nam piśmiennie swobodę ruchów bardzo daleko idącą, a ten wybryk lokalnego komendanta był najzupełniej jego prywatnem przedsiębiorstwem w mundur ubranem. W ten sam dzień jeszcze poszedłem do niego i pierwszą rzeczą. którą mu po-

wiedziałem, było to, że natychmiast powyższe dwa fakta chcę zakomunikować najwyższej komendzie i użalić się, że komenda lokalna w Horodle zabrania misji. Odniosłem wrażenie, że i ten pan działał nie tyle ze złej woli, ile raczej z takiej konstytucji umysłowej, z jaką dajmy na to idzie oficer państwa europejskiego do jakiejś kolonii hotentotów, papuasów czy senegalczyków. Dowód w tem, że się w końcu tak ułaskawił, że nazajutrz w uniformie galowym przyszedł jako gentleman do nas na plebanię przeprosić za to, co się stało.

Druga przeszkoda była ta, że przez cały czas misji nie pokazał się z sąsiedztwa ani jeden ksiądz do pomocy w spowiedzi św. Byliśmy skazani na własne siły. Choć pracowaliśmy z wysiłkiem i wieczorami przedłużaliśmy czas pracy, nie zdołaliśmy wszystkich wyspowiadać. Żal nam ich było serdecznie, ale mimoto musieliśmy ich opuścić, bo termin następnej misji był ułożony i przesunąć się nie dał.

Pozostaliśmy jednakże i nadal w ziemi chełmskiej, uświęconej statecznem wyznawaniem wiary przez unitów. *Dubienka* była następną naszą stacją misyjną. Jestto ta sama Dubienka, pod którą Kościuszko odniósł zwycięstwo nad przeważającemi siłami moskiewskiemi. Miejscowy proboszcz w czasie ofensywy Mackensena umknął stąd wraz z wojskami carskiemi, a zastępował go w czasie misji X. Łukasz Żezuliński, tymczasowy administrator. Moskale cofając się, wszędzie zabierali dzwony kościelne. O ile oni ich nie zdołali zabrać, czyniły to zaraz po objęciu okupacji wojska austrjackie. Wszędzie też, we wszystkich miejscowościach 15, w których odprawialiśmy misje w ziemi lubelskiej w r. 1916, brakowało dzwonów. Zostawiono jedynie wspaniały historyczny dzwon w Zamościu. W Dubience X. proboszcz Gustaw Gierasiński był na tyle sprytny, że tutejsze stare dzwony (pochodzące z klasztoru pobernardyńskiego w Radecznicy) już zdjęte z rusztowania przez moskali i przygotowane do wywozu, w nocy w ścisłej tajemnicy kazał zakopać. Moskale

zaś nazajutrz nie mieli czasu ich szukać, bo czemprędzej trzeba było zmykać. Dzwony jeszcze w czasie misji były zakopane.

Z każdą misją nową wieść o misjach szerzyła się coraz bardziej, przychodzili nawet prawosławni ludzie z poza Bugu, a entuzjazm uczestników, rósł z dniem każdym.

Odprawiliśmy w maju jeszcze misje *w Uchaniach* od 7—13, i w *Grabowcu* od 14—21. Gdyśmy z Uchań przejeżdżali do Grabowca, to na pograniczu każdej wioski mieszkańcy z sołtysem na czele witali nas chlebem i solą.

Była to ostatnia misja X. Koniecznego. W Grabowcu już zachorował. Wśród pracy jednakże niewiele zwracał uwagi na niedomagania swoje; dzień tylko jeden przeleżał a potem znów nam pomagał. Coraz widoczniejszą było rzeczą, że nie będzie mógł dalej uczestniczyć w pracy misyjnej. Że zaś i X. Dudek czuł się wyczerpanym, więc obaj wrócili do Krakowa a ja w Lublinie przeczekałem parę dni, dopóki mi X. Wizytator nie przysłał nowej pomocy, mianowicie X. Bibrzyckiego i X. Dudziaka.

W nowym składzie odprawiliśmy szereg misji w lecie tego samego roku począwszy od 1 czerwca. Wspaniale odbyła się misja *w Zamościu*. Olbrzymich rozmiarów jest kościół wybudowany przez kanclerza Zamoyskiego w najczystszym renesansie, jakiego dotąd nigdy na prowincji nie spotkałem, kościół, który nie tylko mógłby stać w Warszawie ale i w Paryżu należałby do monumentalnych budowli. Mimoto były dnie, że nie mogły w nim pomieścić się rzesze i zmuszeni byliśmy przeważnie kazania prawić na cmentarzu kościelnym. Przejęcie się sprawą misji było tak szczere, tak głębokie, że kiedy wieczorami o godz. 10 odzywał się wśród ciemności poważny, pełny, przejmujący głos cudnego dzwonu i niósł się przez całe miasto i przez dalekie wioski, wzywając do modlitw o nawrócenie zatwardziałych grzeszników, wtedy wszystko po domach cichło i klękało do pacierza, z okien plebanii widzieliśmy, jak na ulicy nawet w tej chwili przechodnie klękali i w ciszy nocnej odma-

wiali modlitwy. Przejęcie się było tak głębokie, że kiedy po postawieniu krzyża misyjnego wstąpił na ambonę X. proboszcz Jędrzejewski, aby nam dać wyraz wdzięczności ludu i swojej za pracę misyjną, tak głębokie wzruszenie owładnęło nim i słuchaczami, że nie mógł dokończyć przemowy. (C. d. n.).

X. W. Szymbor.

Wśród wojny.

List X. Buchhorna. 13. IX. 1920.

Przewielebny Księże Wizytatorze!

Na wstępie mego listu zaraz przepraszam X. Wizytatora za to, żem dotychczas nic nie pisał, a wiem, że pewnie ciekawy jest X. Wizytator, co się z nami dzieje. W krótkości skreślę wszystko. Przyjechałam tu z Tarnowa 4/9 wyczytawszy w dziennikach, że hordy czerwone wypchnięto za Bug. Zaraz 6/9 wybrałem się do Milatyna, aby się przekonać naocznie o wszystkiem, co mi we Lwowie opowiadano. Dotarłem wozem do domu, ale trudno było poznać Milatyn — desolatio desolationis — całe miasteczko zabite trenami i wojskiem, z jednej strony odbijały się o moje uszy dźwięki orkiestry wojskowej, przygrywającej biwakującym żołnierzom, z drugiej huk armat stojących opodal Milatyna, rozgardjarz, brud, fetor naokoło. Na probostwie sztab brygady i pułkowy. Same probostwo trudno poznać, kurytarze, ubikacje zabłocone, drzwi powyrywane i połamane, koło kościoła pełno brudu, nawozu, papierów i słomy. X. Wiślińskiego znalazłem zdrowego, trochę przymizerniał. Bolszewicy wcale dobrze się z nim obeszli. Sam Budienny zaprosił go do siebie, podał rękę, przepraszając, że lewą mu podaje, bo prawą miał skaleczoną. Kościół nie został zrabowany, zabrano tylko kilka obrusów na zwinięcie nieboszczyków bolszewickich w płótno, według zwyczaju wschodniego; nadto połamano jeden krzyż, znieważono figurę, więc nie wiele. Przeprowadzono rewizyj kilka w kościele, w piwnicach kościelnych; wszystko naturalnie, co znaleziono z prowiantów tam pochowanych, zabrano zupełnie tłomacząc, że „Światyj

nie budut kuszat". Koło kościoła pochowane niektóre naczynia kościelne, jak kielichy, monstrancje, wota, akta fundacyjne, papiery wartościowe. Żołnierze bolszewiccy mając dwa tygodnie czasu, ustawiali się szeregami, a chodząc po dziedzińcu kościelnym, swymi dzidami miejsce przy miejscu przeszukiwali — i tak tym sposobem znaleźli wszystko. Na prośbę X. Wiślińskiego oddali jednak wszystko prawie. Wotów tylko oddać nie mieli ochoty, lecz gdy się dowiedzieli, że wota to ofiara całego narodu, oddali i wota, zabierając tylko zegarki.

Probostwo uległo zupełnemu spustoszeniu; wiele mebli połamano, drzwi powyrywano, bibliotekę podarto w kawałki i wyrzucono na ogród, w stancjach urządzono sobie miejsca ustępowe, a ściany kałem walano; wszystko co wpadło w ich ręce uległo zniszczeniu; wszystkie klamki powyrywano, klucze zabrano, z mebli i sof pościągano materję. Ten sam los spotkał zabudowania gospodarcze. Samego siana zabrano 30 fur, 12 fur koniczyny, ze stodoły zboże wymłócono i zabrano, młocarnię połamano, toż samo młynek, pługi, brony, szpichlerz, prowianty, drzewo.

Ludziom okolicznym tyle szkody nie wyrządzono, choć księża ruscy także ucierpieli dosyć. Tak więc już trzeci raz zrabowani jesteśmy. Konie, krowy, wozy uratowaliśmy wywożąc do Lwowa.

Byłem więc 5/9 i 6/9 w Milatynie, czułem się tam jednak niepewnym. Wróg stoi o 4 kilometry od nas, huk armat denerwuje w straszliwy sposób, a nadto niema gdzie mieszkać ani się czem posilić; wszystkiego brak. Widziałem, żem tam niepotrzebny, bo i jeden ksiądz niema co robić, ale potrzebny, bo dopilnuje wszystkiego. Brat Władysław zlikwidował kuchnię, nie mając co gotować; zresztą żołnierstwa pełno, niema się gdzie obrócić. Całe utrzymanie życia misjonarskiego polega od 4 tygodni na spożyciu garnuszka mleka i trochę chleba, o ile tego specjału dostarczy im miłosierna ręka parafjan naszych. Postanowiłem więc wobec tych ciężkich warunków i niebezpiecznej placówki

pozostać jeszcze dzień i wrócić do Lwowa, gdzie gościnni konfratrzy chętnie mnie zapraszali. Dnia 7/9 rano po mszy św. stał się nagle ruch wielki i zamięszanie; strzelanina, krzyk, wrzask, pisk ludzki i dzieci, treny na gwałt pouciekały, wojsko zniknęło, druty telefoniczne zaczęto ściągać, ludzie uciekali. Nie wiedziałem, co się robi, maszynki na gwałt klekotały. Czem prędzej więc wsiadłem na furę i ledwie z życiem uciekłem z tej gehenny, wśród deszczu kulek karabinowych. Oto bolszewicy sforsowali bliski Bug i przedarli się do Rzepniowa i Kozłowa, doszli pod Milatyn. Jak się dowiedziałem, było naszych 119 rannych i zabitych. Ze mną jechał X. Jakubowski z Kozłowa, ledwie zdołał ujść, furmana mu zabito na furze. Z duszą na ramieniu dostałem się do X. Niesłonego do Podlisek, a potem do Lwowa, gdzie postanowiłem czekać na lepszą przyszłość.

Dzisiaj mamy już 13/9 a tu jeszcze nic nie zorano na polu, nic nie zasiano, kartofle nie kopane. Czysta rozpacz! Cóż robić; trzeba czekać; fiat voluntas Dei! O B. Kamieniu nie mamy żadnych wiadomości. Wiem tyle, że Nowosiółki są wolne, ale Olszanica jeszcze w ręku bolszewików. Busk niezwykle zniszczony, a podobno 40% ludności pokaleczonej i pobitej pociskami.

Dzięki Bogu, że choć kościół nasz ocalał, ale co jeszcze być może, nie wiadomo, bo linia frontowa bardzo blisko. Zelechowski kościół zupełnie zrabowany; chorągwie, ołtarze, aparaty kościelne podarte w kawałki. W Busku kościół podziurawiony, toż samo w Zadwórzu i Toporowie. Codzień modlę się gorąco, aby nas P. J. ustrzegł od jeszcze większego zniszczenia.

Oto kilka uwag o Milatynie. A teraz wspomnę jeszcze o naszym skarbie ukochanym t. j. o Cudownym Obrazie Zbawiciela.

Otóż Obraz ten wywieźliśmy do Lwowa w pace i ulokowaliśmy go u naszych Sióstr u Św. Wincentego. Gdy bolszewicy oddalili się od Lwowa, obraz ten umieściła S. Rzewuska w kaplicy św. Wincentego. Całe procesje garnęły

się tam, aby uczcić Cudowny Obraz, znany dobrze Lwowianom. Kościółek mały nie mógł pomieścić pielgrzymujących wiernych. J. E. X. Arcybiskup rozporządził więc, aby Obraz przeniesiono do katedry, co też uczyniono dnia 7/9. W uroczystość Narodzenia M. B. wyszła kurenda konsystorska, aby dnia 12/9 t. j. w niedzielę wszystkie parafje lwowskie z bractwami i cechami zebrały się w katedrze po południu o 5 godzinie. Rano celebrował sumę i wypowiedział kazanie sam X. Arcybiskup. Katedra była szczelnie zapełniona. Po południu po uroczystych nieszporach odprawiono wspaniałą manifestację po ulicach lwowskich i po rynku. Duchowieństwo lwowskie świeckie i zakonne, bractwa i tysiące wiernych brało udział w tej cudownej procesji. Po drodze śpiewano różaniec, kapłanów ośmiu w ornatach niosło Obraz cudowny, przed katedrą wygłosił podniosłe kazanie X. Haduch S. J., po kazaniu wśród pieśni „Któryś za nas cierpiał rany" pobłogosławiono wiernych i miasto Cudownym Obrazem i zapowiedziano odpust uroczysty na 14/9. Ponieważ sytuacja pod Milatynem nie pewna, będę musiał pozostawić Obraz Cudowny jeszcze jakiś czas we Lwowie. P. Jezus, biedny uchodźca, tylko zyskał wiele na swojem wygnaniu; tysiące ludu garnie się do stóp Zbawcy, katedra przepełniona, msza św. od 5 rano do 1 w południe, jedna po drugiej się odprawia przed Obrazem. Nigdy nie byłby Zbawiciel tak uczczony w Milatynie, jak jest uczczonym we Lwowie.

Przypuszczam, że za jakie dwa tygodnie będziemy mogli znowu wrócić na naszą placówkę, aby zacząć pracować. Naczelnik państwa będąc u Arcbp. z wizytą wyraził się, że do końca tego miesiące pewnie osiągną nasze wojska linję Zbrucza, o ile nie zajdą jakie poważne komplikacje.

X. Niesłony wczoraj 12/9 pojechał do Milatyna z końmi, chciałby koniecznie rozpocząć roboty polne, bo czas najwyższy, nie wiem jednak, czy mu się to uda. Obowiam się, żeby mu się nie trafiło podobnie, jak mnie się trafiło.

X. Wiślińskiemu trzeba koniecznie odpoczynku po takiem przejęciu, bo choć się robotą nie męczy, ale nerwy musi mieć stargane. Myślę, że i Przewielebny X. Wizytator zgodzi się chętnie na to, aby na jakiś czas mógł wyjechać czy to do Krakowa czy też do Olczy czy gdzieś indziej.

Kończąc polecam siebie i swoich pamięci przed Bogiem. Oby nam Bóg udzielić raczył siły i łaski do zniesienia wszystkiego, co nam zesłał w niezbadanych swych zamiarach.

X. Buchhorn.

Biały Kamień. 20. IX. 1920.

Najczcigodniejszy Księże Wizytatorze!

Ł. P. n. J. Chr. n. z. b. z n.!

Korzystam z o okazji, aby przesłać pierwsze wiadomości z oswobodzonego Białego Kamienia. List idzie przez człowieka, którego posyłam do Lwowa po nasze konie, wysłane tamże przed inwazją bolszewicką.

Dnia 17 b. m. po południu byliśmy zupełnie wolni; bolszewicy w popłochu uciekali w stronę Sassowa. Dzięki Bogu, jesteśmy zdrowi, ja i brat. Radość i wdzięczność ku Bogu przepełnia nam serce, że ta niewola bolszewicka się skończyła. Cały miesiąc siedzieli tutaj.

Dnia 15 sierpnia po nieszporach poszedłem do Uszni, aby zaopatrzyć przestrzelonego parafjanina. Idąc nad Bugiem przez łąki spotykałem żołnierzy naszych na stanowiskach i ci mi mówili, że bolszewicy są w Uszni. Poszedłem mimo to do Uszni. Przekonałem się, że bolszewicy rzeczywiście już są we wsi, kręcili się koło kościoła. Wziąłem więc N. Sakrament do bursy, pobiegłem do chorego, zaopatrzyłem go i potem z N. Sakramentem wróciłem do Białego Kamienia. Kiedy zbliżałem się do Białego Kamienia, zaczęli nasi od Żulickiej Góry ostrzeliwać bolszewickie patrole, które już pokazywały się w Białym Kamieniu. Trochę się strachu najadłem idąc śród kul. Ale dzięki Bogu, wróciłem cało do domu. W nocy strzelanina. Taksamo w poniedziałek kano-

nada. Tyiko nasi strzelali, bo bolszewicy jeszcze armat nie mieli. Strzelali od Żulickiej Góry na Biały Kamień. Kościół trafiony dwiema kulami, granatami, w ścianę boczną, okna dwa potłuczone. Dom nasz też dostał szrapnelem, ale niewiele szkody. Nasi cofnęli się we wtorek popołudniu 17 sierpnia, aby znów w miesiąc 17 września wrócić do nas. We wtorek zgłosił się jakiś oficer bolszewicki do nas i pytał, czy jest ksiądz w domu. Dobrze, że nie wyjechałem, bo byliby nas kompletnie zrabowali. Po kilku dniach zakwaterował się u nas naczelnik sztabu, niejaki Utorow z żoną. Miał tylko na 24 godzin zamieszkać. Ale ponieważ im się nie udało Lwowa zdobyć, więc zamieszkał u nas półtora tygodnia. Potem wrócił ku Brodom. Natomiast zajęli nasz dom inni bolszewicy: telefoniści, poczta polowa i inne jakieś biura. Ci dopiero dali się nam we znaki. Krzyki, hałasy we dnie i w nocy, masa fur, dużo hałastry — ci nam dużo szkody wyrządzili. Ziemniaki ciągle kopali, owies, siano spaśli, dom i ogród zniszczyli etc.

Ponieważ posłaniec czeka i już ma odjeżdżać, więc kończę, dziękując za modlitwę, bo doznaliśmy szczególnej opieki Bożej i pozdrawiam serdecznie.

X. W. Wrodarczyk.

P. S. Siostry zdrowe. Dobrze, że nie wyjechały. Wymłócono im zboże, ziemniaki wykopali, ale dom nie był rabowany, wiele ocalało.

Nowosiółki. 3 września 1920 r.

Najczcigodniejsza Siostro Wizytatorko!

Łaska Pana naszego, J. Chr. n. z. b. z nami.

Cieszę się, że mi się nastręczyła sposobność, by skreślić na prędce i przesłać bodaj kilka słów wiadomości z Nowosiółek, bo jestem pewna, że Najczcig. Siostra Wizytatorka troszczy się o nas. Od 17 sierpnia do 2 września byłyśmy pod inwazją bolszewicką. Krótki to wprawdzie czas, który

jednak wydał nam się niezmiernie długi, patrząc się na bandy bolszewickie i mieć ich w gościnie jak much. Żyłyśmy jak w dzień tak w nocy ciągłym strachem. Przez kilka dni był u nas szpital bolszewicki sztabowy. Lekarze, cała kolumna, chorzy i ranni byli na naszem utrzymaniu. Zdobywałyśmy się na grzeczność, by im nic nie odmówić, i to chyba uratowało nas i dobro ubogich. Gdy wkroczyła pierwsza patrol bolszewicka przyjęłyśmy ją gościnnie, bo bardzo była zgłodniała. Później rozpoczęła się rewizja w całym domu, po piwnicach, strychaeh i t. d.; policzyli inwentarz, bydło, nierogaciznę i zaraz zapowiedzieli, że zabiorą dla wojska dwa kubany i worek mąki, co też wkrótce wykonali, na czwarty dzień znowu przyjechała druga banda po kubany czyli wieprzki ale już Komenda nie pozwoliła im nic zabrać. Gdy szpital wyjechał, zaraz się zakwaterowała znowu bolszewicka Komenda saperów a z nią pełno wojska, które się zmieniało na pozycji. Znowu cały sztab był na naszym wikcie, a setki żołnierzy przesuwało się zgłodniałych prosząc o kawałek przynajmniej chleba; to straszny widok nędzy, wszystko bose, obdarte. Względem nas zachowali się bolszewicy nawet z pewnym szacunkiem, zabrali nam konie, ale jak tylko Siostry poszły do Komendanta trenu, zaraz nam koniki oddali.

Dnia 18 sierpnia od g. $^1/_2$4-tej rano, do 1-szej w południe była straszna w Nowosiółkach bitwa, kilka domów się spaliło; i my czekaliśmy tylko, kiedy nasze zabudowania gospodarcze i zbiory spłoną; granaty padały jeden po drugim w koło naszego domu. Lecz dzięki Bogu i Matce Najśw. tylko jeden granat padł w mur zakrystji obok presbiterjum ale wielkiej szkody nie wyrządził. Reszta granatów, które padały kilka kroków tylko od stodół w ogrodzie, gdyby były wszystkie eksplodowały, byłoby wszystko z dymem poszło. Dziś t. j. 3 mamy w domu nie mniejszy ruch; całe dowództwo 12 pułku. Każdy kącik, nawet refektarz zajęty, ale miło nam podejmować naszych polskich rycerzy, których się nie potrzeba bać i można swobodnie oddychać. Przy-

najmniej pobieżnie opisałam Najczcig. Siostrze Wizytatorce o Nowosiółkach; gdyż wszystkich epizodów nie podobno mi skreślić na razie, zwłaszcza, że jesteśmy wszystkie bardzo rozerwane. Dziś pierwszy piątek września; miałyśmy po dwutygodniowym poście mszę św., którą odprawił X. Kapelan wojskowy; jutro sobota, znowu będzie uroczysta Msza św. dla całego pułku; nasze dzieci będą śpiewać.

Do nas jeszcze z pewnością prędko poczta dochodzić nie będzie. W Złoczowie i w Białym Kamieniu jeszcze są bolszewicy.

Marjampol. 16. IX. 1920.

Do Siostry Bukowskiej w Stanisławowie.

Szanowna Siostro Starsza!

Łaska Pana naszego J. Chr. n. z. b. z n.

Wybawione po raz drugi z raju bolszewickiego donosimy, że Bóg dobry ocalił nas i opiekował się nami cudownie. Strat mamy wiele. Petlurowcy zabrali 6 koni, 2 krowy, 4 świnki, 100 szt. drobiu, zboże, wozy, nawet wszystkie naczynia kuchenne w Dubowcach. Armaty wybiły nam wszystkie szyby frontowe, jedna kula wpadła do westjarni, druga uderzyła w mur nad furtą. Bolszewicy zabrali nam 1 konia. Rekwizycji obuwia, bielizny i odzieży nie zdążyli przeprowadzić, gdyż byli tylko pierwszy raz 1 tydzień, a drugi raz od 3 do 15 b. m. Urządzili nam jednak rewizję, aresztowali X. Proboszcza, musieli go jednak zaraz uwolnić, Posłałyśmy bowiem zaraz po ludzi, których się w kwadransie zbiegło kilkaset, tak, że się bolszewicy mocno wystraszyli i przepraszali księdza za urządzoną rewizję. Tyle o nas, bo zresztą Bogu dzięki, zdrowe jesteśmy.

Bardzo wdzięczną byłabym Czcig. Siostrze St. za kilka słów, co tam słychać. Czy Najcz. Ojciec już wrócił. Czy Najcz. Przełożeni nie wybierają się w te strony. Posłałybyśmy konie po nich do Stanisławowa. Gdyby były jakie listy

z Krakowa bardzo o nie proszę przez oddawcę, który ten list doręczył.

Wszystkie razem przesyłamy Czcig. Siostrze Starszej i wszystkim Siostrom serdeczne pozdrowienia w Najśw. Sercach Jezusa i Niep. Marji zawsze wdzięczne.

Zaleszczyki. 17. IX. 1920.

Najczcigodniejsza Siostro Wizytatorko!

Łaska Pana N. J. Ch. n. z. b. z.

Korzystam z okazji, aby ten list podać do Horodenki. U nas pociągi jeszcze nie kursują. Serca nasze się rwią, aby jaknajprędzej uwiadomić Najczcigodniejszych Przełożonych, że z łaski Bożej jesteśmy zdrowe i żyjemy wraz z Siostrami w Czerwonogrodzie i już innem powietrzem oddychamy. Gdyby tak dłużej trwało, nie byłybyśmy miały czem oddychać, pod względem ciała i duszy. Wszyscy wyjechali, nawet i księża; tylko jeden X. Zięba się został na cały powiat. Dopiero po trzech tygodniach zjawił się w Zaleszczykach i miałyśmy mszę św. Najśw. Sakram. w naszej kaplicy się został, tylko tę pociechę miałyśmy. Raz lub dwa razy w tygodniu mieliśmy mszę sw. 4 sierpnia wkroczyli bolszewicy; drżałyśmy z strachu, ale cóż było robić, trzeba było stać na posterunku, chociaż przy przeprowadzaniu rewizji grozili nam śmiercią, chcieli nam firanki od łóżek zabrać sobie na koszule, nie mieli ni koszuli ni butów. Tylko, żc P. Dyrektor nas bronił; wiele byłoby do pisania ale zostawię na później. Oddałyśmy się w opiekę Panu Jezusowi i Niepokalanej Marji i przypominałyśmy Jej ciągle te słowa: które wyrzekła: miejcie ufność, nie traćcie odwagi i t. d. i w rzeczywistości tak się stało, ponieważ nam żadnej krzywdy nie zrobili i nic z szpitala nie zabrali, pomimo, że nam zagrażali, że będziemy musiały ulice zamiatać, żydzi w sobotę, a w niedzielę polacy. Jużeśmy miotły przygotowywały. Uznali, że pracujemy a nie próżnujemy i dali nam

spokój. Zawdzięczamy to modlitwom zanoszonym za nas do Boga, ponieważ odczuwałyśmy ją w tych niebezpiecznych chwilach. Ale widać, że i Pan Jezus nie był z nich zadowolony. Od czasu, jak tylko wkroczyli, słońce nie świeciło i zimno się zrobiło. Myślałyśmy, że już śnieg nie zadługo spadnie. Z 14 na 15 w nocy była ucieczka. Warto było widzieć, jak uciekali. Nie wiedzieli gdzie uciekać, bo nie mieli wyjścia. Siostra Rud... wtenczas czuwała, kiedy uciekali, ponieważ lękałyśmy się rabunku szpitala. Obiecali nam, że w razie, gdyby się cofali, to nas wywiozą i szpital zrabują; ale nie mieli czasu, ponieważ wcale się tego odwrotu nie spodziewali.

Siostra Marek z Czerwonogrodu przyjechała 12 do nas; trochę ją wspomogłam, 13 pojechała. Jeszcze wcale nie spodziewałyśmy się tak szybkiego odwrotu.

Nie jestem wstanie opisać radości, jaką serca nasze są napełnione z powodu, że już widzimy naszą polską armię, zaraz Pan Jezus z nieba mile spojrzał, słoneczko zaświeciło i ciepło się zrobiło; to wszystko pobudza do wdzięczności ku Bogu; znać, że Pan Jezus błogosławi naszej polskiej armii. Proszę najpokorniej o kilka słów przy sposobności.

Czerwonogród. 18. IX. 1920.

Najczcigodniejsza Siostro Wizytatorko!

Łaska P. Naszego Jezusa Ch. n. z. b. z n.

Niema tu u nas jeszcze poczty, więc też korzystam z okazji, by choć cośkolwiek donieść Najczcig. Siostrze Wizytatorce. Już oswobodzone jesteśmy od tych bolszewików. Żyjemy i dzięki Bogu nieprzyjaciel już od nas daleko, strasznie ukraińskie wojska go biją. Przeżyłyśmy tu przez 6 tygodni dużo, opisać się tego nie da, bo w dzień i w nocy byłyśmy w strachu, to też co noc czuwałyśmy. Choć nic nam złego nie zrobili i nawet byli dość grzeczni, ale niedowierzało się im i patrzyło się zawsze na nich jak na

wilków. Dzięki Bogu, że to tylko 6 tygodni ich panowania. Z początku tu oni byli bardzo dobrzy, ale teraz coraz to dalej swe różki pokazywali. 4. września w nocy do nas wpadli i rewizję w domu robili; polękałyśmy się bardzo i wtedy X. Proboszcza od nas aresztowali, i go zabrali, i my ich tak prosiły, by nam księdza nie brać, że jutro niedziela, a jeden mówi, że za try czas baciuszka wróci, i też tak się stało; o 7 g. przyszedł X. kanonik zbłocony i z ziębnięty. Tak nam żadnej szkody nie zrobili, ale na ich spotkanie drżeliśmy ze strachu. Dzięki Bogu i Sercu Jezusowemu za oswobodzenie nas z tej niewoli bolszewickiej. Niech Pan Bóg każdego broni pod ich rządami żyć. Teraz lżej oddychamy, gdy nasi ukochani Polacy przyszli. A przyprowadziła ich Matka Najśw. i św. Józef we środę dnia 15 września. Ach jaka to radość była! W Zaleszczykach byłam przed tygodniem; są Siostry zdrowe. O Czortkowie i Budzanowie nic nie wiem.

Czortków. 19. IX. 1920.

Najczcigodniejsza Siostro Wizytatorko!

Łaska Pana n. Jezusa Chr. niech będzie z nami.

Po otrzymaniu listu w dniu 26/7 przeczytałam Siostrom jakie jest życzenie Naj. Przełożonych, abyśmy zostały na miejscu, cokolwiek z nami stać się może. Widoczna łaska św. posłuszeństwa utrzymała nas przy życiu i na miejscu, pomimo, że byłyśmy w piekle od 25/8 do 15/9. Cośmy przebyły i przeżyły, nie da się opowiedzieć ani opisać. Przy zobaczeniu się, łatwiej mi będzie określić. Zrabowane jesteśmy już po raz siódmy; zabrano nam konie wartości teraźniejszej do sto tysięcy, kilkoro świń i inne rzeczy, jak wozy, zaprzęgi i t. d.

26 lipca otrzymałam list, a 29 lipca już przyszli bolszewicy do Czortkowa, 25 sierpnia przyszli do Zakładu, aby im oddać zarząd i wszystkie klucze, pospisywali wszystkie rzeczy tak nasze jak dzieci i chorych na swoją własność, chcieli naszych chorych wywieść i nas wszystkie Siostry, a gdzie? i dokąd?

na ostatku chcieli nas dać do szpitala powszechnego na to, aby było łatwiej nas wywieść, gdyż obawiali się, aby wywożąc nas z domu nie zrobił się niepokój w mieście. Straszyli nas Sybirem, chcieli abyśmy suknie pozdejmowały, a przebrały się po świecku, a z naszych sukien mieli sobie przerabiać ubrania, a z kornetów szyć bieliznę. Kazali sobie oddać rachunki i kasę z pieniędzmi, myśleli, że zastaną tysiące i miljony, a tymczasem tylko paręset koron; a w rachunkach pełno wydatków potrzebnych koniecznie dla domu; i bardzo się ich łakomstwo i chciwość oszukała.

Byłyśmy w domu i za domem otoczone szpiegami na każdym miejscu. Koniecznie chcieli nas na czemś złapać, aby mieć powód do wyrzucenia nas z domu, lecz dzięki Bogu nie mogli nas złapać na niczem, ze swojej strony byłyśmy dla nich grzeczne, o ile uważałyśmy za stosowne. Dzieciom nie było wolno chodzić do kościoła, ani pacierza mówić, wogóle zakazana była modlitwa wspólna. Ale Pan Bóg nas nie opuścił. Z małym wyjątkiem miałyśmy co dzień mszę św. a nawet rano jak można było się ukryć o godzinie trzeciej w nocy. Jeden z Ojców Dominikanów został w parafji i pocieszał nas i pilnował, jak mógł. Zresztą wszyscy Ojcowie wyjechali i nasz X. Kanonik. Nasz dom mieli bolszewicy przez trzy tygodnie pod swoim zarządem. Niech nas Bóg broni od czegoś podobnego, nie da się opowiedzieć, cośmy ucierpiały. Jednak opieka Boska widoczna była nad nami. Przez trzy tygodnie całe obmyślali co dzień, jakim sposobem nas wyrzucić, a nie wyrzucili; ani naszych chorych, dla których było już miejsce obmyślane i wyznaczone, od samego początku, gdy weszli do domu.

Spodziewamy się, że kolej będzie do Czortkowa kursować w krótkim czasie; prosimy Najcz. Przełożonych łaskawie przyjechać do nas, a także prosimy o Siostrę do szkoły, a później, gdy uspokoi się w świecie o więcej Sióstr. Jesteśmy wszystkie bardzo stargane i siły nas opuszczają, siódmy rok wojny zostawił ślady na każdej z nas.

Zapewne gazety doniosły, że jesteśmy uwoinione już od 15. września. Nie wiemy jak mamy za tę wielką łaskę podziękować P. Bogu i tym, którzy się za nas modlili. Cudem tylko w dwóch godzinach zostałyśmy wolne. Inaczej byłybyśmy ogołocone ze wszystkiego, bo tak już było ułożone i postanowione. O Zaleszczykach, Czerwonogrodzie i Kulczycach, nic nie możemy się dowiedzieć, ale może teraz zobaczymy się.

Tarnopol. 23. IX. 1920.

Najczcigodniejszy Ojcze!

Łaska Pana naszego Jezusa Chrystusa n. z. b. z n.

Po ośmiu tygodniach przykrej niewoli, które się nam tyleż miesiącami wydawały, spieszno mi skreślić słów kilka do Najczcigodniejszego Ojca, by choć po krótce pomówić z Nim o tem, co cały ten czas najsilniej zajmowało umysł, co wywoływało różne, bardzo różne, ale po największej części przykre, pełne obawy uczucia.

Dłuższy już czas przed inwazją opowiadano tu przeróżne, a naturalnie straszne rzeczy o bolszewikach i zachęcano nas ze wszystkich stron, byśmy nie zostawały, toteż prawie wszystkie Siostry wahały się bardzo, chciały uciekać, ogromnie się bały, i ja o sobie zaprzeczyć nie mogę, że pod wpływem opowiadanych rzeczy, nieraz lęk mnie ogarnął poważnie, ale wiedząc, że wola Najczcigodniejszych Przełożonych jest, by zostać na posterunku, nie wahałam się ani na chwilę czy uciekać, czy nie, ufna w siłę posłuszeństwa. Chwile te oczekiwania, a były one długie, bardzo długie, nieznośne były. Dnia 26 lipca, więc w dzień św. Anny zaraz rano zdałyśmy sobie sprawę, że katastrofa tuż, tuż. Idąc bowiem do OO. Jezuitów na mszę św., widziałyśmy nasze polskie wojska w odwrocie, treny bez końca wracające z frontu. O, jak ciężko zrobiło się nam na sercu na ten widok. Czerwona armja wkroczyła do miasta około godziny 2-giej, mając swoją pozycję tuż pod miastem, a nasi

zajęli dawne okopy z drugiej strony Seretu za miastem. Najniespodziewaniej dla wszystkich o samej 2 giej zaczęło się strzelanie. Straszne to było; kule armatnie świszczały nad naszemi głowami, nad szpitalem. Byłyśmy w kaplicy na medytacji, odprawiałyśmy ją, jak i często potem różne ćwiczenia przy tym głośnym, a przykrym akompaniamencie. Nagle około godz. trzeciej huk straszniejszy niż poprzednie mimowoli wszystkie nas zmusił do wyjścia z kaplicy; granat wpadł w boczne skrzydło kościoła, zdruzgotał całe okno. Za chwilę jeszcze groźniejszy huk: granat wpada w główną część środkową szpitala, robiąc podobną szkodę i wyrywając część muru. Pozostały wskutek tego tak gęste kłęby kurzu, dymu, żeśmy były pewne, że się szpital pali. Zaraz więc pierwsza godzina tak była straszną. Jeszcze kilka innych granatów padło to w parkan, to do ogrodu naszego. Kilka dni później w czasie ofenzywy naszej, wśród dwugodzinnego, zawziętego strzelania, znowu kilka dziur zrobiły nam nasze granaty, większe od tamtych, ku ogólnemu zdziwieniu miasta, czemu nasi do szpitala strzelają. Może nie trafiali albo też dlatego to się zdarzało, że czerwoni tuż pod szpitalem z karabinem maszynowym stali. Dziękowałyśmy P. Bogu, że przynajmniej nikomu nic się nie stało, chorzy na dół i do piwnic się kryli, także z miasta mieliśmy kilkunastu lokatorów przez całe dwa tygodnie strzelaniny. Ta choć tak straszną była, była nam miłą, bo utrzymywała w nas nadzieję, że jeszcze są nasi tak blisko, że odbiją Tarnopol. Dopiero kiedy z końcem drugiego tygodnia w sobotę odeszli, znowu smutek nas ogarnął! Najśw. Panna cudownie nas strzegła przez cały czas inwazji, tak, że nic nam złego się nie stało, toteż wdzięczności naszej ku Niej wyrazić nie umiem. Prawda, że żyło się w ciągłym strachu, bo coraz nowe rozkazy, rozporządzenia wydawał sojusz. Na posiedzeniach, które często zwoływał, oświadczał głośno, że ludziom nie trzeba ani księży, ani zakonnic, to też spodziewałyśmy się wszystkie, że nas usuną. Zaczęli to swoje dzieło od ochronek. Z wszystkich trzech wydalili: Siostry Służebniczki, nasze

i ruskie i Siostry Dominikanki, nie pozwalając nic zabrać ze sobą. Grozili, że dzieci wywiozą do Rosji. Dzięki Bogu, że nie zdążyli tego zrobić, gdyż odwrót ich odbył się w ogromnej panice, zaczął się w piątek rano, d. 17 b. m. trwał przez sobotę, a w niedzielę po poł. między 2—3 godz. wkroczyły nasze wojska z jednej strony, petlurowcy z drugiej (od Zbaraża) i okolili kilka tysięcy kozaków i piechoty ich. Obserwowałyśmy tę śliczną, uroczystą chwilę, raczej to wkroczenie naszych, przez okna, z których tak dobrze widać most Zbarazki. Radośniej biły nam serca! bo już tak ciężko było pod tem jarzmem, tak dziwnie smutno, że mimowoli wyrywało się każdemu westchnienie, by się Bóg już nad nami zmiłował! Rabowali wszystko, ogłaszając wyrok śmierci na tych, którzy coś zakopali lub zamurowali; za lada rzecz rozstrzeliwali bez sądu; jednem słowem tak barbarzyńskie były te rządy sowieckie, że wszyscy ich mieli dosyć, nawet ci, którzy ich przedtem pragnęli, jak żydzi i rusini, ale przedewszystkiem pierwsi. Zaraz po ich wkroczeniu widziało się, jaki zawód spotkał ogół, widząc czerwonych obdartych, raczej prawie nagich i bosych. Za rabowanie surowo karali, rozstrzeliwali, a sami bez litości zabierali wszystko i wywozili, szczególnie przed odwrotem, tak, że płacz głośny był na ulicach, całe rodziny zostawiali bez pościeli, bielizny, bez niczego. Maszyny do szycia brali, choć one były środkiem utrzymania; na nic nie zważali!

24 września piątek, godzina 8 rano. Zapowiedział się X. Kalmann przez służącą naszą, że przyjdzie o 8½; spieszę więc skończyć list, chcąc poprosić o łaskawe zabranie mi go do Lwowa. Kończę więc opowiadanie, to tylko pragnę jeszcze dodać, co postanowiłyśmy w czasie tych dni ucisku, że gdyby raz jeszcze, co nie daj Boże, zanosiło się na inwazję czerwonej armii, to zwiniemy szpital i uciekamy. Pierwszy zaproponował to nasz doktor, a my wszystkie zgadzamy się na to, aby rzeczy wysłać, a same pracowałybyśmy w służbie wojska jako szpital polowy. Zostając bowiem tutaj, z pewnością wyrzuconoby nas, więc niema na co zosta-

wać. Nadto: nie ominęłaby nas kulka, gdyż ukrył się w szpitalu, nasz żołnierz, porucznik, który jako jeniec ranny uciekł i do nas przyszedł. Sądzę, że Najczcigodniejszy Ojciec nie będzie temu przeciwny, już tym razem wszyscy nadziwić się nie mogli, że zostałyśmy. Ocaliłyśmy w ten sposób dobro publiczne, że go nie zrabowano. Ale nie podobno narażać się drugi raz na rzeczy, które przewidzieć się nie dają.

Jakże pragnęłabym, żeby Najczcigodniejszy Ojciec nas odwiedził! ogromnie byłybyśmy mu wdzięczne. Trzymamy się dość dobrze, dzięki Bogu; S. Orwat dostała przedwczoraj wysokiej gorączki, ale już zdrowa dzisiaj. Pracy było dużo przez cały czas. Zresztą u nas prawie zawsze to samo. Szpital pełny. Teraz mamy kilku naszych żołnierzy. Do S. Wizytatorki wysłałam 2 kartki przez żołnierzy jadących autem, myślę, że dostała choć jedną, pociągi mają być już od niedzieli; kiedy też przyjdzie jaka wiadomość z Krakowa! Nasz kośeiół parafjalny bardzo zniszczony. Mówią mi w tej chwili Siostry, że umajony, jak na Boże Ciało, bo pierwsza msza św. odprawi się teraz, pierwsza po 2 miesiącach. Zostali tu tylko dwaj OO. Jezuici staruszkowie, musiałyśmy więc chodzić tak daleko przez cały czas; dobrze, że już będą nabożeństwa w parafji.

Przepraszam Najczcigodniejszego Ojca za brzydkie pismo, ale spieszę ogromnie, ciągle mi przerywają, w dodatku nie bardzo mi dobrze, przemęczenie i wrażenia przebyte pewnie się odbiją, trudno mi pisać porządnie, a tak pragnę jaknajprędzej list ten przesłać.

Złoczów. 27. IX. 1920.

Najczcigodniejsza Siostro Wizytatorko!

Łaska Pana naszego Jezusa Chrystusa n. z. b. z n.

Spieszę z radosną nowiną, że oswobodzeni jesteśmy od bolszewików, a nasi dzielni polscy żołnierze wkroczyli 17 t. m. Witaliśmy ich z wielkim zapałem; własnym oczom nie chciałyśmy wierzyć, że to już nasze wojsko wraca.

Przez miesiąc bolszewicy tu gospodarowali i myślałyśmy, że ta niewola potrwa przez zimę. Dlatego modliłyśmy się gorąco, by Pan Bóg zmiłował się nad nami. Drżałyśmy od strachu, a szczególniej najgorzej noce nas przestraszały, a miałyśmy się czego lękać, ponieważ X. proboszcz Wałęga i X. Stepa, administrator byli u nas schowani. 50 tysięcy obiecywali bolszewicy dać temu, kto X. proboszcza znajdzie. O tem dobrze wiedziałyśmy, że tylko Bóg nas strzeże i dlatego żadnej rewizji u nas nie przeprowadzali. Dziwnie, dziwnie Bóg nad nami czuwał i zachował nas od wszelkich złych przygód, za co jestem Mu wdzięczna przez całe życie. Wprawdzie bolszewicy z ludności świeckiej nikogo nie zabili, jednakże w straszliwy sposób rabowali, a zrabowane rzeczy czemprędzej do Rosji wysyłali. Dniami i nocami młócili zboże i wysyłali do Rosji, w Białym Kamieniu Siostrom zabrali zboże, groch i t d. W naszym szpitalu mieli swój szpital chirurgiczny; górę całą zajęli dla swoich chorych, i to im za mało było, chcieli i dół zabrać. Bóg nas obronił. Pozostałyśmy na swoich stanowiskach. Wytłumaczyłam im, że na dole mamy kuchnię, pralnię, i że nie pomieścimy się po jednej stronie szpitala i że jesteśmy w prawie zatrzymać dół dla swoich chorych, dla których tu pozostałyśmy a na ich żądanie nie przystaniemy w żaden sposób. Na szczęście miałyśmy do 40 chorych ciężko rannych, ale bolszewicy byli w okropnych opałach. Nasi bili nielitościwie, więc mieli moc rannych żołnierzy, tak, że na podwórzu leżeli, a do tego dnie były dżdżyste i zimne; dla tych powodów daliśmy im 2 salki na dole dla rannych. Mieliśmy wielką łaskę u nich, pomimo, że często odmawiałam im rzeczy, o które prosili. Przysłali do nas z Magistratu Komisarza, w jakim stanie jest szpital, czy czego nie potrzebujemy. Rzeczywiście skorzystałam wiele; dawali nam mąki, krupy, sól po niższych cenach, do tego poszłam z burmistrzem do Komitetu rewolucyjnego, gdzie nas przyjął przewodniczący Komitetu Hoca. Bardzo grzecznie nas przywitał, i powiedział, że dla Sióstr Miłosierdzia ma szacunek i cześć

im oddaje i t. d. Prosiłyśmy o zaliczkę dla utrzymania szpitala; dał nam 10 tysięcy rubli do wyrachowania się, a później jak wydamy tę kwotę, dostaniemy znowu. Dostałyśmy także od Hoca 6 kg. herbaty, pewnie skradzionej od kupców, dostałyśmy 10 kołder, 6 poduszek, 10 poszewek. Nas to wcale nie cieszyło. Wzdychaliśmy do swoich. Później opowiemy więcej.

Dzięki S. Stach..., że nam pozostawiła wiele żywności, i że nie głodowałyśmy wcale. Tu ogromna drożyzna, mięso po 100 m. za 1 kg., słonina po 250 m., za jaja cenią po 7 m. za jedno, ale i w tem Bóg nam pomagał, bo kobiety przynosiły nam jaja, mleko, ser, masło, kury za sól, którą bardzo tanio kupowałam w Magistracie i przez to świetnie wychodziłam na zamianie.

List X. Witaszka. **Wilno,** dnia 11. X. 1920.

Przewielebny Księże Wizytatorze!

Ł. P. n. n. z. b. z n!

Dzięki Bogu Najwyższemu i opiece Najśw. Panny Ostrobramskiej, szczęśliwie przeżyliśmy wszystkie inwazje. Pisałem raz X. Wizytatorowi przez mego brata mieszkającego w Berlinie, lecz nie wiem, czy wiadomość doszła.

Przed przyjściem bolszewików lękaliśmy się nieco, głównie z tego względu, że mieszkamy nie w śródmieściu, lecz na uboczu a także dlatego, że dom nasz i kościół położony na górze, wystawiony będzie na pociski, tembardziej że przypuszczano, że 10 wiorst od Wilna toczyć się będą potyczki. Tymczasem potyczek żadnych nie było, były tylko drobniejsze strzelaniny w samym mieście. Na samym wstępie bolszewików do miasta, rano o godz. 5 przyszło 2 bolszewików niby z rewizją, szukali broni. Brat Cezary, który jako znający jezyk rosyjski odgrywał przez cały czas inwazji rolę przełożonego, oprowadził ich po domu, zaprowadził do swego mieszkania, gdzie mu zabrali stare spodnie, kilka sztuk bielizny i zegarek, który miał przy sobie; pozatem nic

więcej nam nie zabrali, tylko u naszych lokatorów zabrali u jednego bułkę świeżo upieczoną, a u drugiego 1 funt słoniny. Postąpili prawdziwie jak zwykli rabusie. Pozatem nie mieliśmy żadnej wizyty ani ze strony bolszewików, ani litwinów. Mimoto, trzeba się było chować zwłaszcza nocą, był taki czas, że nocowałem nie w mieszkaniu lecz w ukryciu. W ogrodzie wyrządzili bolszewicy większe szkody przez kradzieże owoców, ale dzierżawca żydek umiał się zakręcić koło władz bolszewickich, która nie dopuściła do zupełnego obrabowania. Większy był kłopot z jarzynami, które do nas należały. Aby je uratować, przyjęła cały ogród jarzynny, niby na swoją własność jedna z robotnic i tak przestał ogród być własnością burżujską, a stał się własnością ludu roboczego. Mimoto żydki-milicyańci nabrali apetytu na ogórki i przychodzili, aby im dawać. Dostali raz i drugi po kilka, by się odczepili. Lecz wnet zaczęli się zuchwalić — przyszło ich aż 6 naraz z karabinami, domagając się ogórków, rozumie się darmo. Byłoto już zawiele poczciwej kobietce i poczęła się z nimi ujadać, ale kiedy słowa, choć wymowne, nieskutkowały, kiedy żydek począł grozić karabinem, dzielna wilnianka, trzymając garnek pełen wody z gąsienicami, które z kapusty zbierała, wszystką wodę wraz z robakami wylała mu prosto w twarz. Podniósł się krzyk w ogrodzie, zleciało się z dziesięć kobiet na pomoc, żydki pouciekali z wyjątkiem dwóch odważniejszych. Ale kiedy naród niewieści zagroził im, że wyniosą ich na ulicę i na kamienie posadzą, wynieśli się i oni grzecznie i więcej już ogrodu nie odwiedzali. Poza tem nie mieliśmy żadnych awanturek w domu. Spokojnie pracowaliśmy jak za dobrych czasów. Brat Cezary przeprowadził bardzo porządnie elektryczność w kościele całym; przy tej pracy spadł raz z drabiny i mocno piętę sobie potłukł, lecz nie długo kulał. Ja spokojnie pracowałem w kościele. Na naleganie księdza Kanclerza przyjąłem urząd spowiednika zwyczajnego w klasztorze Sióstr Benedyktynek z tem jednak zastrzeżeniem, że gdy zacznie się praca misyjna, usunę się z tego obowiązku.

Z Wilna wielu bardzo księży wyjechało przed bolszewikami, wyjechała także wszystka prawie inteligencja. Za rządów bolszewickich aresztowaniom nie było końca. Trupów, po usunięciu się bolszewików znaleziono 22. Między wywiezionymi przez bolszewików znajduje się X. prał. Michalkiewicz, który obecnie znajduje się w Moskwie.

Kronika.

Kraków, Nowa Wieś.

W lipcu 1914 r. zaskoczyły nas wypadki wojenne. Ultimatum do Serbii, wojna z Rosją, mobilizacja. Br. Wincenty Dyrszczka i Br. Stanisław Ganza odjechali do wojska pruskiego. Dom nasz od 3 sierpnia stale zaczął być używany przez wojska austr. na kwaterunek żołnierzy. Wszystkie sale M. Seminarjum zajęte zostały i budynki gospodarcze; na podwórzu kuchnie wojskowe, w kręgielni kantyna, dalej kuźnia wojskowa. W refektarzu studentów — kancelarja wojskowa. Magazyny za kościołem objęło wojsko i ustawiło wartę. Nie ulegało już wątpliwości, że Zakład nasz tego roku nie będzie mógł być otworzony. Żołnierze masami spowiadają się, więc w kościele dużo ciągle roboty. Same alarmujące wiadomości o bitwach na dalekich frontach, to o śmierci Piusa X., Lwów wzięty przez Moskali itp. itp.

Ze wszystkich kościołów 6 września wyruszają pielgrzymki pokutne do św. Stanisława, św. Jacka, św. Jana Kantego — a więc i z naszego kościoła liczna wyruszyła procesja.

Dołącza się groźba ewakuacji Krakowa. Rozbitki wojsk austr. ciągle kwaterują u nas. Powstają liczne szpitale, a nam książę-Biskup oddał pieczę nad szpitalem epidem. w Łobzowie w szkole kadetów i na Krowodrzy.

28 września była u nas komisja wojsk., czy mamy prowianty na czas oblężenia. Tegoż dnia przybył O. Przeor Kamedułów z prośbą o gościnność, bo wojsko ich z Bielan wyrzuca.

8 listopada, niedziela, podczas sumy nagle kościół niemal się opróżnia. Przyczyna zaraz się wyjaśniła, bo dzielnicę naszą obchodzi komisja wojskowa i w kilkunastu godzinach każe się ludziom ewakuować. Rozpacz. Po południu nie odbyła się tradycyjna procesja i nabożeństwo do S. P. J., gdyż ludzi nie było. Ludność prosi o przechowanie dobytku i t. p.

Dziś surowo zabroniono, aż do odwołania, używania dzwonów kościelnych. Zaprowadzono sądy wojenne, sklepy pozamykano, gazety nie wychodzą prawie. Wśród tych denerwujących wypadków, jeden jaśniejszy, że udało się nam od wojska uwolnić Br. Franciszka Gołębiowskiego, bo bylibyśmy bez Braci, bez organisty i kościelnego.

16 listopada pierwsze armatnie strzały. Moskale więc.

17 listopada komisja wojskowa oglądnęła wieżę, na której chcą urządzić stację obserwacyjną z telefonem.

Piekarnie zamknięte. Ratują nas SS. Miłosierdzia z Zakładu Helclów przez dłuższy czas dostarczając nam chleba.

8 grudnia nasz odpust — w smutnym nastroju, bez dzwonów, ale napływ ludzi ogromny, mimo, że wsie okoliczne odcięte od Krakowa przez zasieki druciane, wojskowe straże.

13 grudnia objęliśmy curam animarum z polecenia władzy duchownej w Mydlnikach, wiosce za Krakowem, odciętej od parafii przez powyższe przeszkody. Karczmę zamieniono na prowizoryczną kaplicę. Tam jeżdżąc, nawet cum Sanctissimo do chorych, trzeba na zasiekach stanąć i legitymację pokazać wojskową.

Tak przeszły i święta Bożego Narodzenia z tą ulgą, że Moskale się od Krakowa cofnęli.

Korzystamy z tej ulgi i zabieramy się do naszych dzieł dawnych i nowych. Tuż przed wybuchem wojny ukończyliśmy w głównych zarysach odnowienie kościoła, teraz trzeba było je wykończyć. W krótkich odstępach czasu nastąpiło poświęcenie nowych ołtarzy, mianowicie św. Józefa, św. Wincentego i św. Antoniego. Zaprowadziliśmy nowe artystyczne

stacje Drogi Krzyżowej, instalowano nowe stale itp. Opieka nad młodzieżą stała się sprawą piekącą, gdyż ojcowie przeważnie w wojsku, a matki udręczone troską o chleb codzienny, nie mogły dostatecznie nad dziećmi czuwać.

Dlatego rozszerzyliśmy ochronkę przy ulicy Kazimierza Wielkiego, aby mogła więcej dzieci objąć, a na niedzielę gromadzić Stow. Dz. M. Założyliśmy dwie pracownie Ligi Pom. przem. jedną — kartoniarską dla chłopców, drugą ozdób na „drzewko" — dla dziewcząt. Brak było lokalu dla chłopców, dlatego poświęciliśmy dom czynszowy tak zwany „Kalifornja" i przebudowany — oddaliśmy go na ten cel. Młodzież zszeregowaliśmy w Sodalicję marjańską. X. L. Petrzyk z zapałem oddał się tej pracy i pierwsze podwaliny położył.

Młodzieży gromadziło się tyle, że trzeba było pomyśleć o nowych dla nich lokalach. X. Wizytator przyszedł nam z pomocą, bo zakupił dom przy t. zw. łące stradomskiej — gdzie dotąd była karczma. Tam zwolna powstaje lokal i na ochronkę dla tej dzielnicy i na zebrania niedzielne młodszych kandydatów do Sodalicji.

Przystępując do szerszej akcji społecznej, obmyślanej nietylko na czas wojenny, ale na dalszą metę, gdyż trzeba będzie stawić czoło dążnościom przewrotowym nurtującym społeczeństwo, postanowiliśmy zbudować odpowiedni „Dom katolicki", któryby koncentrował tę pracę społeczną.

Teren najlepiej nadawał się przy ul. Królewskiej, gdzie stał domek, własność Zgromadzenia, a w nim mieszkały t. zw. „ampliuski", tj. praczki, związane jednak pewną regułą — jakaś podwalina nowego zakonu, z których jedna nawet do wizji doszła. Dopomogliśmy im, że się na szerszy świat przeniosły i tam zaczęliśmy budowę.

Jeszcze nie był gmach wykończony, a już w suterynach w marcu 1918 r. poświęcił X. Wizytator kuchnię ludową, którą objęły „Panie katolickie", aby przyjść z pomocą biednej ludności.

Do tego gmachu przeniosły się później „Dzieci Marji“. Tam ma powstać trzecia ochronka, sala na wykłady popularne, a dziś, po zwinięciu kuchni ludowej znajduje się „Składnica katołicka“, dostarczająca dla tutejszej ludności tanich artykułów żywności. Cały ten przeciąg czasu urozmaicały nam władze austrjackie — ciągłymi spisami, komisjami, zbieraniem metali, zaprowadzeniem coraz to nowych kart na chleb, cukier, naftę itp. Ciągłe asenterunki, groźby, zabieranie księży i Braci do wojska.

Wiadomości z terenu wojny denerwowały nietylko nas, ale i nasze władze, które wszędzie węszyły za zdradą — stąd i u nas 3 lutego 1916 r. była rewizja policyjna i z błachych powodów internowano, szczęście, że tylko jedną noc, na policji — X. Zielińskiego.

Wreszcie przystąpiono do największej dla nas krzywdy, która z góry mówiła, że będzie powodem niebłogosławieństwa Bożego — przystąpiły władze austr. do zabierania naszych pięknych dzwonów — a ponieważ nie dało się ich całych sprowadzić na dół, więc kilka tygodni ranili nam serca rozbijaniem ich w kawałki. Było to w styczniu 1917 r.

Zakład nasz wychowawczy „Małe Seminarjum“ rok tylko był zamknięty. 1915 r. otworzyliśmy go i dotąd prowadzimy wśród niesłychanie trudnych warunków aprowizacyjnych, ale też wśród ciągłej, żywej opieki Opatrzności Bożej i przy opiece Patronki naszej Najw. Panny z Lourdes.

X. J. Dihm.

Konwikt teologiczny w Warszawie, Traugutta I.

Obok domu przy św. Krzyżu w Warszawie, równocześnie powstaje w r. 1918 drugi dom XX. Misjonarzy w Warszawie, znany dzisiaj pod nazwą Konwiktu teologicznego. Wspaniały dom misjonarski, którego fundamenty i pierwsze skrzydło zbudowano jeszcze za życia św. Wincentego, a który potem w ciągu wieków dwóch pięknie i obszernie się rozbudował, został po kasacie w r. 1864 zajęty przez dawny

rząd rosyjski. Skrzydło od Krakowskiego Przedmieścia przebudowano zupełnie zewnętrznie i wewnętrznie oraz zamieniono na mieszkania dla dyrektora i zarządu III. gimnazjum rosyjskiego, natomiast skrzydło drugie, przytykające do ulicy hr. Berga, dzisiaj Traugutta nazwaną, rómnież przerobiono napiętrach, i tam umieszczono gimnazjum trzecie. Obok tego zburzono dom, przytykający do tego skrzydła i na jego miejscu zbudowano wspaniały gmach z salą gimnastyczną oraz więlką i piękną aulą gimnazjalną, natomiast najstarsze skrzydło domu misjonarskiego, idące od zakrystji kościoła św. Krzyża ku ulicy Traugutta, przecinającej dawny ogród XX. Misjonarzy niezmieniono. Umieszczona w nim na parterze i I. piętrze drukarnię rosyjską, a drugie piętro oddano na pomieszczenie urzędników drukarni. Po opuszczeniu Warszawy przez Rosjan w lipcu 1915 r. ewakuowano oba skrzydła od ulicy Krakowskie Przedmieście i ulicy hr. Berga, to jest dawniejsze gimnazjum rosyskie, gdzie zresztą przez rok 1914/1915 znajdował się szpital Czerwonego Krzyża rosyjskiego. Drukarnia została na miejscu i zamieniono ją na drukarnię państwową polską.

Niemcy wszedłszy do Warszawy, chcieli zrazu zająć gmachy po rosyjsk. gimnazjum, ale zarząd kościoła św. Krzyża zdołał zawczasu umieścić w tych skrzydłach ochronki parafjalne, stojące pod opiekę Komitetu, którego prezesową była p. Goldstand. Nadto umieszczouo w tym gmachu ochronę kobiet, Uniwersytet Macierzy Polskiej, 6-cio klasową szkółkę miejską, seminarjum nauczycielskie im. X. Konarskiego oraz gimnazjum Wielopolskiego im. św. Stanisława Kostki. Zanim więc okupanci nowi zdołali ten gmach zająć, był on już oddany rozmaitym instytucjom dobroczynnym i oświatowym. Także mieściła się tutaj tania kuchnia parafii św. Krzyża. W takim stanie znajdował się gmach ten z początkiem roku 1918, kiedy powstała myśl użycia go na cele lepiej odpowiadające jego dawnemu przeznaczeniu.

Już od roku 1915 istniał w Warszawie Uniwersytet polski, złożony z 3 wydziałów. Otóż w kołach duchowieństwa

warszawskiego powstaje myśl, aby w Uniwersytecie warszawskim, zgodnie z tradycjami, w Polsce panującemi, założyć wydział teologiczny, oparty jednak na podstawach daleko szerszych, niż dotychczasowe wydziały teologiczne w Krakowie i we Lwowie. Myśl ta gorąco popierana przez J. E. X. Arcybiskupa warszawskiego w grudniu 1917 r. przybrała kształty realne; mianowicie zjazd biskupów polskich Królestwa Polskiego uchwalił, że dla tych, którzy ukończyli teologję w seminarjach polskich, ma być utworzony wydział teologiczny, któryby umożliwił studentom wyspecjalizowanie się we wszystkich gałęziach wiedzy teologicznej. Ponieważ zaś w myśl przepisów kanonicznych, księża studenci powinni mieszkać wspólnie w odpowiednio urządzonych Konwiktach, odrazu też poruszono sprawę ufundowania takiego konwiktu w Warszawie, którego kierunek miano powierzyć któremuś z polskich Zgromadzeń zakonnych. Wybór konferencji X. X. Biskupów padł na Zgromadzenie XX. Misjonarzy w Krakowie. Tem bardziej wybór ten był wskazany, że dawny dom XX. Misjonarzy św. Krzyża w Warszawie nadawał się do tego celu, jako położony naprzeciwko Uniwersytetu oraz także dlatego, że dom był w tej chwili faktycznie pod opieką parafji św. Krzyża, której zarząd wraz z kościołem miał także przypaść w udziale XX. Misjonarzom, jako prawnym właścicielom kościoła i domów przyległych, gwałtownie przez dawny rząd rosyjski w r. 1864 zabranych.

Po ułożeniu odpowiednich warunków, Wizytator X. K. Słomiński zgodził się najchętniej na tę propozycję, bo dzieło tego rodzaju, jak prowadzenie Konwiktu teologicznego należy właśnie do zakresu misji, zleconej nam przez nasze reguły św. W styczniu 1918 roku podpisano układ z XX. Misjonarzami w kurji metropolitalnej warszawskiej, jako że J. E. Arcybiskup warszawski był z ramienia Konferencji Biskupów, bezpośrednim zwierzchnikiem i opiekunem powstać mającego zakładu. Wprowadzenie tej myśli w czyn, powierzono Komitetowi, złożonemu z księży prałatów: Galla Stanisława, Sokołowskiego,

Przeździeckiego, obecnie biskupów i księży kanoników: Szlagowskiego i Gautiera. Na rektora Konwiktu wyznaczono X. W. Michalskiego ze Zgromadzenia XX. Misjonarzy, który zarazem miał objąć obowiązki profesora Studjum Starego Zakonu na fakultecie teologicznym w Warszawie.

Dzięki usilnym zabiegom udało się X. Szlagowskiemu i X. Sokołowskiemu, uzyskać u ówczesnego rządu polskiego, mianowicie w Ministerjum dóbr publicznych w Warszawie, że ono, jako tymczasowy właściciel tych domów, skonfiskowanych przez rząd rosyjski ukazem z 23 listopada 1864 r. na rzecz Królestwa Polskiego, domy te oddało Ministerjum W. R. i O. P., a Ministerjum W. R. i O. P. oddało te domy zajmowane dotąd przez gimnazjum III. rosyjskie i drukarnię rosyjską, J. E. X. Arcybiskupowi warszawskiemu, który zarząd tych domów i opiekę nad nim zdał z dniem 6 maja 1918 r. na ręce X. W. Michalskiego, rektora Konwiktu teologicznego. Tak kwestja została załatwiona ze strony prawnopaństwowej. Ma to znaczenie tymczasowe.

Na razie udało się tylko część małą domu opróżnić. Mianowicie dzięki życzliwemu poparciu X. kanonika Skimborowicza, wiceproboszcza św. Krzyża, już dnia 1 maja 1918 ochronki parafialne p. Goldstand, jakoteż tania kuchnia i ochrona kobiet dobrowolnie opuściły zajmowane lokale. Po oczyszczeniu i odrestaurowaniu tej części domu oraz odpowiedniem urządzeniu już 22 maja 1918 r. można było dom ten oddać na umieszczenie 16 studentów teologji, przeważnie księży ze wszystkich nieomal dyecezji Królestwa Polskiego. Dnia 14 maja otwarto po cichu w Uniwersytecie, bez udziału władz okupacyjnych wydział teologiczny z okazji setnej rocznicy założenia Uniwersytetu warszawskiego — a 28 maja J. E. Arcybiskup warszawski w obecności ministra W. R. i O. P. p. Ponikowskiego, rektora Uniwersytetu p. Antoniego Kostaneckiego oraz całego senatu akademickiego, przedstawicieli młodzieży i całego duchowieństwa katolickiego miasta Warszawy, otwarł i poświęcił uroczyście

Konwikt, przy której też okazji dokonano uroczystego otwarcia fakultetu teologicznego w salach Konwiktu.

Konwikt doznawał od samego początku widocznie Opatrzności Bożej. Okres ten kończącej się wojny był bardzo ciężki. Drożyzna dawała się już bardzo odczuwać. Funduszów nie było żadnych. Jedynie X. Arcybiskup warszawski ratował; dał tytułem pożyczki 10.000 marek na opędzenie najpierwszych potrzeb odrestaurowania i urządzenia gmachu oraz skromnego jego umeblowania. Na razie księża sami muszą pokrywać koszta swego utrzymania. W porozumieniu z X. Arcybiskupem i wizytatorami Konwiktu X. prałatem Stanisławem Gallem i X. kanonikiem Antonim Szlagowskim oznaczono wysokość pensji na 10 marek dziennie od osoby. Konwikt daje mieszkanie umeblowane, obsługę, wikt całodzienny, zwykłą opiekę lekarską oraz opał i światło. Mimo to położenie materjalne Konwiktu było krytyczne, bo rzeczywiste koszta już wówczas obliczono na 12 marek od osoby. Niejednokrotnie w pierwszym tym okresie czasu rektor i prokurator Konwiktu X. K. Witaszek tracił nieomal wszelką nadzieję, czy dzieło tak zaczęte będzie się mogło rozwijać. To też w czerwcu 1918 r. X. Michalski przedstawił Konferencji XX. Biskupów Królestwa Polskiego, którzy odbywali Zjazd w Warszawie z okazji otwarcia Rady stanu, całe to krytyczne położenie zakładu; tem więcej było ono groźne, że w lecie trzeba się było liczyć z przeprowadzeniem dalszych restauracji nowych lokali, jakie miano odzyskać oraz pomnożeniem miejsc w Konwikcie do 40, bo tylu się spodziewano w jesieni r. 1918 teologów na fakultecie. Przyczem zarząd Konwiktu wykazał, że XX. Biskupi powinni wziąć pod uwagę, iż Konwiktowi, oprócz sum potrzebnych na restaurację i urządzenie biblioteki, kaplicy, kuchni etc. jeszcze ponadto należy się subwencja na utrzymanie służby, stróżów, zarządu oraz kosztów za opał i światło, przynajmniej 29.000 marek. Konferencja XX. Biskupów przyjęła przychylnie tę prośbę i biskupi zobowiązali się do rocznej subwencji dla Konwiktu w wysokości 29.000 marek, co się zaś

tyczy kosztów, związanych z restauracjami i urządzeniem zakładu, polecili Rektorowi Konwiktu, aby się udał celem ich pokrycia o subwencję do Rządu polskiego. Dzięki poparciu ówczesnego prezesa ministrów p. Steczkowskiego oraz ministra oświaty uzyskano subwencję w kwocie 25.000 marek, ale dopiero w grudniu r. 1918 już za rządów p. Moraczewskiego suma ta została wypłaconą. Nadmienić należy, że pewien szlachetny ofiarodawca złożył kwotę 50.000 marek na ręce X. Michalskiego na cele Konwiktu i tak zdołano zakład odpowiednio urządzić.

W czasie ferji uniwersyteckich w lecie r. 1918 udalo się odzyskać dalszą znaczną część gmachu misjonarskiego; mianowicie seminarjum nauczycielskie im. X. Konarskiego oraz szkółki miejskie opuściły zajmowane lokale, tylko gimnazjum św. Stanisława miało jeszcze rok jeden część gmachu zajmować. Także udało się usunąć lokatorów, zajmujących drugie piętro skrzydła wewnętrznego. Drukarnia tymczasem zamieniona na drukarnię Państwa Polskiego z braku odpowiedniego lokalu nie mogła do jesieni się wyprowadzić. Odzyskane nowe skrzydła odrestaurowano i tak otrzymano lokal na pomieszczenie względnie wygodne 40 księży. Rok szkolny zaczął się 15 października 1918; księży zjechało się 38, bo równocześnie otwarto uniwersytet w Lublinie, dokąd część studentów, mających zamiar pierwotnie studjować w Warszawie pojechała, co było dla Konwiktu ulgą, bo nie byłby mógł pomieścić więcej, niż 40-tu studentów, a było zgłoszonych z górą 50.

Tymczasem w jesieni r. 1918 następuje znany przewrót na ziemiach polskich. Dzięki wielkim zwycięstwom sprzymierzonych armii na zachodzie nad Niemcami i w których Polska brała udział, bo jej 100.000 armia pod wodzą Hallera uczestniczyła w walkach zwycięskich, dzielna nasza młodzież zszeregowana w tak zwaną polską organizację wojskową i Związek byłych Dowborczyków, przy pomocy cząstki dawnych legionów z Warszawy, wyzwala ziemie polskie z pod obcych okupacji niemiecko austrjackiej. Młodzież aka-

demicka wszystkich polskich uniwersytetów uchwala jednomyślnie wstąpić do wojska polskiego, zaczem też zawieszono już 11 listopada wykłady w uniwersytecie warszawskim. Fakultet teologiczny musiał również, bo księża konwiktorowie ofiarowali się swoim Ordynarjuszom z gotowością objęcia obowiązków kapelanów wojskowych, wykłady zawiesić. Od 2 listopada r. 1918, aż do 15 października trwały te przymusowe wakacje. W tym czasie Konwikt mógł się lepiej wewnętrznie urządzić. Ostatni lokator, który zajmował wnętrze gmachów Konwiktu, to jest drukarnia państwowa, wyprowadził się do odzyskanej na Niemcach doskonale urządzonej drukarni na ulicy Miodowej. Dzięki nowej, znacznej subwencji Rządu polskiego, przerobiono gruntownie dwa skrzydła gmachu Konwiktu i lepiej dostrojono do potrzeb zakładu, także dopiero teraz urządzono kuchnię i refektarz i umieszczono w miejscu na to odpowiednim. Cały prawie rok trwały te przeróbki. Fakultet też się zdołał lepiej zorganizować. Nastąpiła w uniwersytecie stabilizacja i Naczelnik Państwa dokonał nominacji szeregu stałych, zwyczajnych profesorow. W zarządzie Konwiktu musiala nastąpić zmiana, bo X. Michalski nie był w stanie pogodzić obowiązków profesora z coraz to bardziej rozszerzającym się zakresem działania rektora Konwiktu. Zamianowano nowego rektora w osobie X. Józefa Gaworzewskiego, który też otrzymał nominację superjora domu od O. Generała. Dom nasz wzrósł, bo należy do niego obecnie X. Weissmann, sprawujący obowiązki ojca duchownego w seminarjum djecezjalnem, oraz X. Sowiński, dyrektor SS. Miłosierdzia. Wobec tego dom wraz z dwoma braćmi liczy w tej chwili 7 członków. Liczba zaś konwiktorów wynosi obecnie 40, z których 38 chodzi do uniwersytetu, zaś 2 do Instytutu głuchoniemych w Warszawie, aby się kształcić na kapłanów tego rodzaju zakładów, istniejących we Lwowie i Poznaniu.

Nadmienić należy, że p. hr. Rogier Łubieński dał Konwiktowi swoją bardzo cenną bibliotekę, zawierającą komplet najcelniejszych dzieł z literatury i historji kultury w Polsce,

a także zbiór najlepszych utworów z nowoczesnej literatury francuskiej, aż do r. 1914. Nadto podarował wszystkie dzieła teologiczne po ostatnim biskupie z rodziny Łubieńskich X. Konstantym Łubieńskim, zmarłym jako wyznawcy na wygnaniu w Rosji. Także oddał na ozdobienie sali bibliotecznej portrety biskupów i kapłanów z rodziny Łubieńskich oraz zbiór bardzo cennych miniatur z XVIII. wieku.

Uboga kaplica Konwiktu także miała swoich hojnych ofiarodawców. Nadto świeżo p. hr. Zofja Plater Zyberk złożyła na ręce rektora Konwiktu 15.000 marek, jako początek funduszu do dyspozycji rektora Konwiktu na cele zakładu.

Co się tyczy życia w Zakładzie, zostało ono oparte na przepisach prawa kanonicznego oraz naszych zwyczajach misjonarskich. Księża żyją wspólnie, schodzą się codziennie do kaplicy na półgodzinną medytację, modlitwy wieczorne i rachunek sumienia, tygodniową konferencję duchowną oraz wspólne pożycie kapłańskie, unormowane regulaminem dziennym, ma nietylko umożliwić pożyteczną pracę naukową, ale także ożywiać ducha i gorliwość kapłańską. Musimy zaznaczyć, że konwiktorowie, chociaż są to kapłani, którzy już kilka lat samodzielnie pracowali w duszpasterstwie, bardzo chętnie i gorliwie stosują się do tych przepisów. Nadto Konwikt stał się do pewnego stopnia domem kapłańskim, bo chętnie udzielamy naszych lokalów na cele, mające obudzić życie kościelne u nas. Dwa razy już w r. 1919 odbywały się zjazdy katechetów oraz w styczniu tego roku miał miejsce zjazd homiletyczny. Z okazji licznych zjazdów i konferencji I. I. E. E. XX. Biskupów i Naprzewielebniejsi Arcypasterze odwiedzają Konwikt, który się cieszy, mogąc w swych murach gościć tych dostojników kościelnych.

Chociaż konfratrzy bezpośrednio w kościele nad ludem nie pracują, jednak nie brakuje im okazji do spełniania misji przez reguły nam nakazanej. Praca w seminarjum i Uniwersytecie, w domu nad księżmi tu się gromadzącymi, także wszelaka pomoc, do jakiej zawsze są gotowi o ile zwykłe obowiązki na to pozwalają, nie dają im na

chwilę spocząć. Jeżeli dzieło to rozwijać się będzie dalej, to istotnie Konwikt będzie dla duchowieństwa polskiego w innej formie co prawda, tem, czem dawniej był dom świętokrzyski.

Oby Bóg pozwolił temu domowi się rozwijać jak najpomyślniej. Powstał w okresie czasu najtrudniejszym, wśród wielkich przeszkód; dzisiaj jeszcze trudności się piętrzą. Tem one są większe, że stosunek tego domu do Zgromadzenia, nie został jeszcze należycie określony. Faktycznie Zgromadzenie ma te domy w swoim ręku, zanim jednak formalnie obejmie domy na własność swoją legalną, jeszcze nie jedną przeszkodę trzeba będzie przezwyciężyć. Czy ten dom kiedyś jeszcze wróci do Zgromadzenia tak, jak było dawniej, to tego dzisiaj powiedzieć nie można. Pewna się tu analogja nasuwa, jak było z domem naszym stradomskim, tylko że dom stradomski zawsze faktycznie był w rękach Zgromadzenia, ale też przez długie lata prawa Zgromadzenia do tego domu były kwestjowane. Tymczasem jednak konfratrzy w miarę sił swoich słabych, jak dotychczas pracują, ufając, że św. Wincenty, którego opiekę tak widocznie odczuwamy, wyprosi nam z nieba to samo błogosławieństwo, jakie na dom ten tak obficie się zlewały w ciągu wieków dwóch, kiedy z tego domu promieniowało życie boże i duch św. Wincentego na całą Polskę.

X. W. Michalski.

Lwów. M. Seminarjum.

Mord austrjackiego następcy tronu Franciszka Ferdynanda dokokonany w czerwcu r. 1914, był wypadkiem, który bezpośrednio spowodował wielką wojnę, która wybuchła ostatniego dnia lipca t. r. W sierpniu ustało wszclkie normalne życie w państwach, które stanęły pod bronią. Z największym też jeno trudem udało mi się wrócić do domu z Paryża, dokąd udałem się z X. Wizytatorem i X. Lewantowskim na konwent generalny.

W budynku Małego Seminarjum dokonywała się wtenczas przebudowa klatki schodowej. Przed ukończeniem roboty wszyscy robotnicy, po większej części skutkiem powołania ich do służby wojskowej, opuścili pracę. Z wielkim tylko wysiłkiem udało się przy pomocy zgromadzonych zkądinąd sił roboczych, prace rozpoczęte przyprowadzić jako tako do końca. Końcowi prac w budynku towarzyszył już huk armat wojsk austrjackich i rosyjskich, które już pod Lwowem a zwłaszcza pod Winnikami ostre toczyły boje. Zwycięstwo Rosjan spowodowoło cofnięcie się Austrjaków na zachód od Lwowa i wejście wojsk rosyjsktch 3 września do Lwowa. Za kilka dni już zażądali Rosjanie oddania budynku M. Seminarjum na szpital dla rannych rosyjskich żołnierzy. Skutkiem jednak szybkiego posuwania się Rosjan na zachód i szpital założony w M. Seminarjum już po trzech dniach został zwinięty i dalej posunięty na zachód — do Sądowej Wiszni. Przez następne miesiące usiłowali Rosjanie zabrać budynek M. Seminarjum na koszary dla wojsk przechodzących, od tego jednak zaszczytu udało się nam z trudnością uchylić.

Postępowanie szybkie naprzód wojsk rosyjskich poprzedzała straszna panika, która udzielała się ogólnie ludności. Skutkiem przesadzonych, jak się pokazało wieści o okrucieństwach Rosjan, wielu także księży opuściło swe posterunki duszpasterskle. Skutkiem tego, że Zakład w tym roku szkolnym (1914/15) nie był czynnym, zwrócił się J. E. X. Arcybiskup Bilczewski do nas, aby XX. Prefekci M. Seminarjum udali się na parafie, opuszczone przez kapłanów. Na prośbę więc Arcybiskupa X. Szulc objął w opiekę duszpasterską aż dwie parafje, Dawidów i Stare Sioło, zaś X. Leńko Sokołówkę ad Bóbrka. Podpisany natomiast objął obowiązki kapelana w Zakładzie nieuleczalnych przy ulicy Zborowskich; zakład bowiem ten wskutek powołania kapelana do wojska, został bez opieki duchownej.

Stan ten trwał aż do czerwca 1915 r. Pod naporem działań wojennych wojsk państw centralnych (Austrji i Nie-

miec) Rosjanie, którzy zapędzili się aż pod Kraków, zmuszeni zostali się cofnąć i 22 czerwca Lwów opuścili. Ponieważ wielu inwalidom austrjackim groziło wywiezienie do Rosji skutkiem cofnięcia się wojsk rosyjskich, ówczesny prezydent Lwowa Dr. Tadeusz Rutowski uzyskał pozwolenie od Rosjan, aby inwalidów austrjackich mógł umieścić w zakładach specjalnie na to otwartych. W tym też celu zwrócił się on i do X. Arcyb. Bilczewskiego, aby zakład oddać dla inwalidów austrjackich. Temu celowi zakład służył bardzo krótko, bo zaledwie tydzień, bo po wycofaniu się wojsk rosyjskich a powrocie wojsk austrjackich, zakład został obrócony na szpital dla austrjackich żołnierzy. Szpitalem tym opiekowali się lekarze oraz Siostry Krzyżaczki „Kreuzschwestern", a szpital nosił urzędowy tytuł: „Deutsch-Ordens Verwundeten Szpital". Szpital ten przetrwał do września 1917 r. poczem został zwinięty.

Tymczasem X. Szulc, pracując gorliwie na parafji wśród srożącej się epidemji tyfusu plamistego, zaraził się, zaopatrując Sakramentami św. chorych i zmuszony był wrócić w maju 1915 r. do Lwowa, gdzie w szpitału zakaźnym poddał się leczeniu; dzieki Bogu chorobę przetrwał szczęśliwie.

Młodzież przez cały rok inwazji rosyjskiej była bardzo zaniedbana, szkoły bowiem publiczne nie były czynne. Było otwartych jedynie kilka szkół prywatnych, które z wielkim trudem i przy uwzględnieniu podyktowanych przez Rosjan warunków (uczenie jęz. rosyjskiego) mogły być otwarte.

Dlatego też tak nauczycielstwo, jakoteż cala publiczność żądała wczesnego otwarcia szkół publicznych po ustąpieniu Rosjan.

Większość wychowanków M. Seminarjum, jako chłopców starszych, znalazła się pod bronią, przeważnie zaciągnęła się dobrowolnie do formowanych „polskich legjonów" po stronie wojsk austrjackich. Wielu znalazło śmierć na polu chwały, inni przechodzili ciężkie koleje życia, zwłaszcza po rozwiązaniu „legjonu wschodniego". Dla młodszych jednak zakład w roku szkolnym 1915/16 otworzono. Znalazła się ich

liczba 25. Ponieważ jednak gmach M. Seminarjum, jak już wspomniałem, zajęty był na szpital, umieszczono tych studentów w gmachu Seminarjum kleryków, których liczba także znacznie była uszczuplona przez powołanie do służby wojskowej. Utrzymanie dawały Siostry Boromeuszki, które mają zarząd kuchni Sem. kleryków, za wynagrodzeniem dziennem po 1·80 kor. za 1 studenta, a następnego roku szkolnego po 2·50 kor. Studenci bowiem i przez następny rok szkolny 1916/17 w liczbie 15 przebywali w gmachu Seminarjum kleryków. Bezpośredni nadzór nad nimi wykonywał X. Szulc, który po wyleczeniu się w szpitalu, objął z powrotem obowiązki katechety VI. gimnazjum oraz prefekta M. Seminarjum. X. Leńko natomiast po powrocie ze Sokołówki, gdzie zarządzał parafją w nieobecności proboszcza, po powrocie tegoż, wrócił do Lwowa i niebawem powołany został do wojska, do pracy duszpasterskiej, jako kapelan wojska austrjackiego, a po rozpadnięciu się państwa austrjackiego w październiku 1918 r. połni nadal te obowiązki jako kapelan wojsk polskich. Podpisany zaś, oprócz obowiązków kapelana w zakładzie nieuleczalnych, uczył w zakładach prywatnych p. Strzałkowskiej i SS. Urszulanek oraz zajmował się akcją dobroczynną, tak bardzo potrzebną w czasie wojny, w obydwóch Tow. św. Wincentego a Paulo. Zwłaszcza Tow. Pań Miłosierdzia bardzo się rozwinęło w tym czasie, rozszerzając swą działalność i dostosowując do potrzeb bieżącej chwili. Stał także wówczas na czele Związku Towarzystw dobroczynnych, oraz na czele Komitetu, zarządzającego „Domem katolickim", którego byt materjalny był wówczas bardzo zagrożony.

12 sierpnia 1917 r. z woli władzy Zgromadzenia po 15 latach pracy przy M. Seminarjum Lwów opuściłem, aby objąć stanowisko superjora Domu w Tarnowie i proboszcza tamtejszej parafji św. Rodziny.

Natomiast studenci M. Seminarjum po dwuletnim korzystaniu z gościnności murów Seminarjum kleryków, po usunięciu się szpitala we wrześniu 1917 r. wrócili do swego

własnego gmachu. Kierownikiem zakładu był X. Szulc aż do czasu, kiedy to stanowisko w sierpniu r. 1919 opuścił, objąwszy obowiązki superjora nowo otwartego Domu w Pabjanicach. Po nim obowiązki rektora Małego Seminarjum objął od roku szkolnego 1919/20 X. Grzegorz Janiewski, dawny wychownek tego zakładu, a prefektem został X. Hieronim Feicht. Studentów jest w tym roku szkol. (1919/20) 30.

X. Józef Gaworzewski.

Tarnów.

12 sierpnia 1917 r. przybyłem do Tarnowa celem objęcia zarządu domem i parafią Św. Rodziny.

Przedemną zarysowała się tu jasno praca w dwóch kierunkach: materjalnym i religijno-moralnym.

Nasamprzód materjalnym, wskutek bowiem działań wojennych dom, a zwłaszcza kościół uległ poważnym uszkodzeniom. W maju 1915 r. wojska austrjackie i niemieckie przedsięwzięły silną ofensywę nad Dunajcem przeciw Rosjanom. Największego kalibru strzały armatnie padały na Tarnów, zwłaszcza na dworzec. Napór powietrza po wybuchu granatów był tak silny, że dach oraz wszystkie witraże od strony dworca bardzo zostały uszkodzone; przy obliczeniu i naprawie witraży brakowało aż 250 kawałków witraży. Z wielkim nakładem pracy i kosztów zostały witraże wszystkie naprawione przez firmę W. Żeleńskiego z Krakowa. Równocześnie z tą naprawą dano podwójne okna w kaplicy Matki Boskiej Różańcowej, a samą kaplicę odczyszczono, i skromnie, ale dość gustownie odmalowano. Odczyszczając kościół i naprawiając szkody przez wojnę spowodowane, zaprowadzono prowizorycznie światło elektryczne, gazowe bowiem wskutek braku gazu bardzo często zawodziło. Usiłowania około zaprowadzenia motoru elektrycznego do organu, zapoczątkowane już poprzednio, dopiero po dwóch latach starania odniosły skutek, a to z powodu trudności transportowych.

Otoczenie kościoła o tyle uległo zmianie, że do zakrystji przybudowano skład na różne sprzęty kościelne, a między kościołem a domem zbudowano wielkiej rozpiętości bramę, chroniącą przechodniów od wielkich wichrów, które tu się koncentrowały, a otwarta, umożliwia procesje naokoło kościoła.

W otoczeniu kościoła i domu znajduje się parę domków prywatnych o lichym bardzo wyglądzie i stanie utrzymania, szpecących widok i sąsiedztwo domu Bożego. Kilka tych chat zostało już przez mego poprzednika nabytych; została tylko jedna względnie dwie realności, stanowiące własność dziś już nieżyjącego Józefa Błaszkiewicza. Po długich targach udało się te realności nabyć, tak, że obecnie całe otoczenie kościoła i domu stanowi własność Zgromadzenia.

W pracy religijno-moralnej nad parafją staraliśmy się utrzymać to, co było dotychczas zdziałane, lub poprawić, co wskutek wojny zostało częściowo zaniedbane. Oprócz stałych nabożeństw w kościele i spowiedzi, do której garną się ludzie nietylko tutejsi, ale z odległych nawet wsi i miast a nawet z granic b. Królestwa kongresowego, usiłowaliśmy oddziałać na lud przez różne bractwa i stowarzyszenia. Dotychczas były tu bractwa Serca P. Jezusa wraz ze Stow. Komunji św. wynagradzającej, mające każdego 1-go piątku miesiąca swe nabożeństwo z odpowiednią nauką. Następnie Bractwo różańcowe, podzielone na kółka żywego różańca. I dla członków bractwa różańcowego odprawia się co 1 szą sobotę nabożeństwo wraz z odpowiednią nauką i zebraniami miesięcznemi. Bractwo męki P. Jezusa i Drogi krzyżowej zreorganizowano i również raz w miesiącu urządzano nabożeństwo. Oprócz tych bractw, które już istniały, zaprowadzono na życzenie i prośbę parafjan nowe: Bractwo mszy św. wynagradzającej. Członkowie tego bractwa obowiązują się w niedzielę wysłuchać drugiej mszy św. na intencję tych, którzy tego ważnego obowiązku zaniedbują. Jeżeli obowiązki stanu nie pozwalają im tego zobowiązania spełnić w niedzielę, mogą to uskutecznić w którykolwiek

dzień tygodnia. Odpowiednią naukę dla członków tego bractwa wygłaszano na prymarji 1-szej niedzieli miesiąca.

Staraniem naszem było, aby utrzymując dotychczasowe nabożeństwo ku Najśw. Pannie, rozbudzić także nabożeństwo większe do św. Józefa. Dlatego wprowadzono każdej środy mszę św. uroczystą przed ołtarzem tego Świętego, a mszę św odprawiano na intencję zamawiających ją zbiorowo ku czci św. Józefa. W marcu zaś przed uroczystością tego Patryarchy urządzano nowennę przygotowawczą wraz z nauką; w samą uroczystość zaś napełniał się na nabożeństwie cały kościół wiernymi. Dla uczczenia św. Józefa grono panien z Chyszowa zamówiło piękną figurę tego Opiekuna P. Jezusa która jako feretron pomnożyła liczbę figur, niesionych na procesjach.

Cześć św. Wincentego a Paulo, naszego założyciela, staraliśmy się także w miarę możliwości rozszerzać. W tym celu obchodzono uroczyście wszystkie święta przez Kościół św. ku czci św. Wincentego postanowione, a zwłaszcza w 2-gą niedzielę po Wielkiejnocy i w niedzielę po 19 lipca. Św. Antoni Padewski zaś, zbierał składki do skarbony na cele dobroczynne.

Mieliśmy także zaszczyt i wielką przyjemność, że w naszym kościele odbyły się niezapomniane uroczystości cywilne i wojskowe z powodu powstania z martwych naszej Ojczyzny w dniach 14 października i 13 grudnia 1918 r. oraz wszystkie uroczystości patrjotyczne, jak np. rocznica powstania styczniowego, 3-go Maja i t. p. Podpisanemu przypadł w udziale zaszczyt, że odbierał przysięgę od wojska polskiego i od grona urzędników wszystkich dykasterji. Odtąd wszystkie nabożeństwa dla wojska polskiego odbywają się w naszym kościele, a po nabożeństwie rozbrzmiewa pieśń do Stwórcy „Ojczyznę wolną zachowaj nam Panie".

Utrzymano także i nadzwyczajne oddziaływanie na parafjan przez urządzanie w czasie Wielkiego postu rekolekcji. W roku 1919 serji kobiet przewodniczył X. Gaworzewski, a serji mężczyzn X. Stanisław Dudek. Praca poza kościołem

konceutruje się w różnych stowarzyszeniach oraz instytucjach oświatowo-moralnych.

Dla najmniejszych dzieci w wieku przedszkolnym jest założona Ochronka pod wezwaniem św. Józefa. Mieści się ona w domu starym, przytykającym do ulicy Krakowskiej, dawnym pałacu książąt Sanguszków. Uczęszcza do ochronki do 150 dzieci. Zarząd ochronki sprawuje Komitet pań, w którym skarbnikiem jest każdoczesny proboszcz parafj św. Rodziny. Bezpośrednie prowadzenie ochronki spoczywało w rękach Sióstr Felicjanek, które dochodziły we dnie do ochronki z domu swego przy ulicy Ogrodowej położonego. Kiedy jednak wskutek chorób w czasie wojny szeregi Sióstr Felicjanek bardzo się zmniejszyły, usunęły się od prowadzenia ochronki, a po oddaniu prowizorycznie prowadzenia ochronki w ręce świeckiej osoby, zdołano w r. 1919 uzyskać na stałe do tego kierownictwa Siostry Służebniczki Najśw. Panny ze Starej Wsi, które też zamieszkały na stałe w domu ochronki. Młodzież szkolna jest pod naszym wpływem, o ile spełniamy obowiązki katechetów. Trzy są szkoły ludowe w parafji. Szkoła im. Tadeusza Kościuszki dla młodzieży męskiej, gdzie stałym katechetą jest X. Władysław Mierzejewski, szkoła im. Hoffmanowej dla dziewcząt, gdzie katechetami byli: X. Andrzej Zabrzeziński i X. Hieronim Gintrowski. Trzecia szkoła powstała za naszych czasów w jedynej wsi, należącej do parafji naszej — w Chyszowie. O szkołę tę trwały starania przez lat z górą 25. Dopiero wojna przyczyniła się do jej założenia. Wojska rosyjskie za swego pobytu w okolicy Tarnowa zburzyły w Chyszowie karczmę, w której od dawna rezydował żyd-arendarz, który po drodze wszystkich chłopów przywabiał do karczmy i niszczył ich dobytek oraz zdrowie. Po zburzeniu tej karczmy, powstała myśl, by dom ten odbudować, ale oddać go na użytek szkoły. Zarząd dóbr XX. Sanguszków w Gumniskach okazał się tej myśli bardzo przychylnym i praktycznie dopomógł do odbudowy domu oraz przybudowy kuchni i spiżarki oraz zabudowań gospodarczych. Dla szkoły przyłączono zna-

czną część ogrodu, zasadzono drzewka owocowe, całe otoczenie szkoły oparkaniono tak, że szkoła przedstawiała bardzo schludny i miły widok. Do tak przygotowanej szkoły w myśl życzeń księżnej Konstancji Sanguszkowej, sprowadzono Siostry Służebniczki Najśw. Panny ze Starej Wsi. Przybyły one w listopadzie 1918 r.; jedna z nich, jako kwalifikowana nauczycielka. Po urządzeniu domu zaraz zaczęły pracę szkolną. Zaraz z początku zgłosiło się dzieci około pięćdziesiąt. Szkołę otwarto publicznie i poświęcono dnia 1 grudnia 1918 r. O uroczystości poświęcania szkoły w Chyszawie, pisze „Lud katolicki“ w Nrze 52 z dnia 22. grudnia 1918 r., jak następuje:

„Chyszów koło Tarnowa. Dnia 1 grudnia b. r. odbyła się w naszej gminie nadzwyczaj ważna, a od ćwierć wieku oczekiwana uroczystość — po 25 latach od chwili zorganizowania w naszej gminie szkoły, została ona otwartą dnia 1 grudnia b. r. Uroczystość ta tem większe ma dla nas znaczenie, że budynek szkolny przerobiono z dawnej karczmy, która pamiętną była z rozpijań, bójek i wszelkiego rodzaju demoralizacji młodzieży i starszych, a dzierżawionej przez szereg lat przez żyda, jedynego w naszej gminie, który dorobił się znacznego u nas majątku, chociaż narzekano na biedę i brak funduszów na budowę szkoly. Dnia 1 grudnia dokonał uroczystego poświęcenia budynku szkolnego X. Prob. Gaworzewski w obecności inspektora szkolnego p. Szumskiego, jako delegata Rady szk. okr., przedstawiciela Zarządu dóbr w Gumniskach w osobie p. Brzozowskiego, p. Langera, administratora dóbr Chyszów i wielu zaproszonych gości z miasta a przedewszystkiem prawie całej ludności Chyszowa. W przemówieniach okolicznościowych przebijała widoczna radość z otwarcia tej nowej placówki oświatowej, pierwszej w wolnej Polsce w tutejszym powiecie, placówki, w której w miejsce dawnej rozpusty i pijaństwa, gromadzić się będzie dziatwa i starsi ku pożytkowi naszej drogiej Ojczyzny i na chwałę Bożą. Przemówienia te wywarły nader silne wrażenie na obecnych, co widać było po wzruszeniu do łez obecnych,

a co dało wyraz w podziękowaniu w imieniu gminy przez usta p. Kozłowskiego. Jeżeli do tego dodam, że młodzież na prędce przygotowana przez Siostry Służebniczki, wyznaczone dla tej szkoły, odśpiewała szereg pieśni patrjotycznych i oddeklamowała wiersze okolicznościowe, czego dotąd w Chyszowie nie słyszano, ani nie widziano, to pamięć tej chwili na długo pozostanie w sercach naszych i wdzięczność dozgonna jej towarzyszyć będzie. A wdzięczność należy się nietylko inicjatorom tego zbożnego dzieła tak X. Prob. Tyczkowskiemu, jak i X. Gaworzewskiemu, lecz głównie Zarządowi dóbr XX. Sanguszków (w osobie p. Brzozowskiego), który kosztem kilkunastu tysięcy koron odrestaurowuł własny budynek na cele szkolne, dodając przeszło morg ziemi na ogród szkolny. Podziękować musimy również i p. Langerowi, który dał się poznać ze swęj szlachetnej ofiarności przy budowie szkoły i pomocy wszelkiego rodzaju. Cześć tym prawdziwym opiekunom naszej gminy! To prawdziwie obywatelska i szczera działalność, a nie tych wszystkich fałszywych opiekunów ludu, którzy nieraz na wiecach obiecują nam złote góry i opiekę nad nami, a niczem nie pomagają w odrodzeniu Ojczyzny i ludu, mając jedynie i wyłącznie swój prywatny interes na oku. W końcu dodaję, że niedługo powstanie przy szkole i ochronka i naprawdę rozpocznie się obywatelska praca, której nie potrafią zachwiać przewrotne prądy wrogów ludu i wiary świętej katolickiej. — W końcu dziękujemy na tem miejscu p. dyrektorowi Smalcowi, który, gdy u nas szkoły nie było, chętnie przyjmował dzieci z naszej gminy do szkoły na Strusinie“. *Chyszowianin.*

Lud chyszowski ucieszył się szczerze z otwarcia szkoły. Mury, które były rozsadnikiem demoralizacji i ociemniania ludu, stały się obecnie przybytkiem oświecania i umoralniania najmłodszego pokolenia i przygotowania go do dobrego spełniania zadań życia. Już pierwszy rok istnienia szkoły spełnił oczekiwane po szkole nadzieje. Na uroczystym popisie, który się odbył dnia 29 czerwca 1919 r. sprawdzili reprezentanci Rady szkol. okręgowej, zarządu dóbr XX. San-

guszków, gminy oraz wielu rodziców, że szkoła spełnia doskonale swoje zadanie. Rozdano też dzieciom nagrody, zakupione przez Radę szkol. miejscową, jako zachętę do dalszej pracy.

Młodzież starsza pozaszkolna grupuje się w Stowarzyszeniu Dzieci Marji dla dziewcząt i Sodalicji męskiej dla chłopców.

Stow. Dzieci Marji, których szeregi przez wojnę znacznie się uszczupliły, powoli zebraniami tygodniowemi, zostało ożywione Do czego przyczyniły się pewne urozmaicenia, jak np. odczyty niektórych pań, urządzenie wenty na cele Stow., przedstawienia sceniczne treści religijnej itp.

Ze Stow. Dzieci Marji wyłonił się także chór panien, które każdej niedzieli spiewają na chórze w kościele w czasie sumy.

Sadalicja chłopców, którą prowadził przez jakiś czas X. Adam Piasecki, a potem X. Władysław Mierzejewski, ożywiła się znacznie, odkąd stosunkowo szczupłą ich salę przebudowano znacznym kosztem i powiększono o drugie tyle, ze stałą sceną oraz galerją. Częściej urządzane przedstawienia stały się atrakcją dla chłopców i sposobnością do oddziaływania na nich moralnie.

Osoby starsze, tak kobiety, a po części i mężczyźni grupują się w bractwach, o których była mowa wyżej.

Dla jednej jednak kategorji mężczyzn istniało osobne stowarzyszenie, dla kolejarzy. Stanowią oni znaczną część parafjan. W większej części zgrupowani są w partji, która nie hołduje zasadom katolickim. Jest jednak pewna część szczerze do kościoła katolickiego przywiązana, a grupuje się w katolickiem Stowarzyszeniu kolejarzy. Mają oni co miesiąc nabożeństwo specjalnie urządzane dla członków tego stowarzyszenia w kaplicy MB. Różańcowej, w której fundowali ołtarz swojemi składkami. Co miesiąc zbierali się także na pogadanki w szkole kolejarzy na dworcu. Przedmiotem tych pogadanek były kwestje religijne, społeczne, z chwili bieżącej. Zbierało się ich przeciętnie około 50, a do

Stowarzyszenia zapisanych było około 250. O ich gorliwości świadczy i ten fakt, że kiedy zacząłem ogłaszać składkę na sprawienie nowych dzwonów do kościoła, które zarząd wojskowy austrjacki zabrał na armaty, samorzutnie oświadczyli kolejarze, że gotowi sami jeden dzwon ufundować i zaczęli zbierać na ten cel, jużto opodatkowawszy się z swej pensji miesięcznej, jużto zbierając na dzwony na bloczki, które na ten cel kazałem drukować. Nadto zebrali oni pewną część i materjału na rzecz przyszłych dzwonów.

W naszym domu także i przy naszem współdziałaniu zbierała się także jedna z Konferencji św. Wincentego a Paulo. Niestety szeregi Konferencji w czasie wojny bardzo się uszczupliły, skutkiem czego i kasa Konferencji mało mogła pomagać ubogim.

W naszym także domu zbierała się Sodalicja panów ziemi Tarnowskiej; na życzenie J. E. X. Biskupa Wałęgi podpisany był moderatorem tej Sodalicji. Zbierała ona w swem łonie gros inteligencji męskiej Tarnowa. Zebrania odbywały się co 2 tygodnie, a przedmiotem ich odczyty różnej treści bieżącej, a następnie toczyła się zazwyczaj ożywiona dyskusja. Prelegentami byli X. Moderator i członkowie Sodalicji, a najczęściej świetny prelegent prof. M. Paciorkiewicz.

Sodalicja odbywała przygotowanie trzydniowe przed uroczystością Niepokalanego Poczęcia N. M. P., co kwartał miała zebranie walne z uczestnictwem członków z prowincji, a w poście jej staraniem urządzane bywały rekolekcje dla ogółu inleligencji mężczyzn Tarnowa.

Powtórzyć tu trzeba, że w Tarnowie „żniwo wielkie“, ale robotników stosunkowo zawsze zamało.

X. Józef Gaworzewski.

Ś. p. X. Jerzy Głogowski.*)

In Memoriam.

Czy mnie kiedy przeszło przez głowę, że ja o nim będę zmuszony pisać wspomnienie pośmiertne?..

Lat temu trzydzieści kilka poznałem go w Krakowie w Zgromadzeniu XX. Misjonarzy i, sam się jeszcze ucząc, ćwiczyłem go w łacinie i w grece dwa czy trzy lata: był dziarski i zdrowy jak rydz, przodował naturalną inteligencją i pilnością kolegom, był lubianym przez wszystkich dla prawości charakteru i usposobienia wesołego.

Straciłem go potem długie lata z oczu — więc i z żywej pamięci — i dopiero w roku 1903 spotkałem się z nim tu w Stanach Zjednoczonych, jako z młodym kapłanem — misjonarzem, pełnym sił i życia, rwącym się do trudów misyjnych i parafjalnych... Przez lat szesnaście wiódł pracowite kapłańskie życie nasamprzód w New Haven, Connecticut, następnie we Filadelfii, w których-to miastach założył nowe, obecnie kwitnące, parafje polskie, wreszcie od ośmiu lat wziął na siebie ciężki krzyż, z posłuszeństwa i z poświęcenia się, jako pierwszy rektor kolegjum Św. Jana Kantego w Erie, Pa. W zeszłym roku poczęła w nim nagle nurtować choroba straszna, djabetes (cukrówka) zwana, która zniszczyła ten silny i żelazny organizm i stała się ostateczną przyczyną jego śmierci, dnia 29 lutego b. r. Poszedł przed Pana Boga X. Jerzy Głogowski w 48 roku życia, w samej tężyźnie i w samej dojrzałości wieku i doświadczenia kapłańskiego,

---

*) Wspomnienie pośmiertne napisane przez X. dra Tomasza Misickiego w gazecie „Polak w Ameryce", 22, 23 i 24 marca 1920 r.

kiedy zdawać się nam mogło, że był Zgromadzeniu i nam wszystkim najpotrzebniejszym... Tak widocznie i dla niego i dla nas wypadło lepiej, jeżeli spodobało się Panu Bogu zawezwać go z tej ziemi w chwili, w której ani sam śmierci się nie spodziewał, ani cieszący się jego zbożną pracą nawet o tem nieszczęściu myśleć nieśmieli.

Jemu, bo życiem zacnem i nawskróś kapłańskiem na to sobie zasłużył, dobry i miłosierny Bóg sowitą i bezmierną obmyśli zapłatę, a Zgromadzeniu i społeczeństwu naszemu użyczy łaskawie nie jednego, ale kilku dzielnych pracowników, co go zastąpią pracowicie i godnie... Jako przyjaciel ś. p. Jerzego pozwolę sobie niniejszem rzucić na świeży grób jego garść ciepłych słów i wiązankę serdecznych uwag, żeby uradować jego ducha w Panu spoczywającego, a druhów jego i przyjaciół bodaj trochę w bólu ukoić...

*
* *

X. Jerzy Głogowski urodził się i wychowywał w zaraniu swego życia na Śląsku — tym Śląsku t. z. Górnym, na którym zdaje się oczy i zamiary Boskie w szczególniejszy spoczęły sposób przy końcu przeszłego stulecia, właśnie w owym czasie, kiedy rząd pruski uwziął się był dokończyć dzieła zniszczenia starej dzielnicy Piastowskiej... Na nic się nie zdały obmyślenia pruskie i poszły na marne wykrętne, niekatolickie zamysły i prace pewnego odłamu sprusaczonego duchowieństwa śląskiego; Opatrzność Boża wyraźnie paraliżowała liche ludzkie podstępy l rachuby.

W Rzymie, w Turynie, a przedewszystkiem w sercu Polski, w naszym ukochanym Krakowie roiło się od młodych studentów śląskich, którzy, prześladowaniu rządu i niektórych niedobrych duchownych pasterzy się wymykając, dążyli tam, gdzie im wolno było pełną oddychać piersią i wchłaniać w siebie polskość i życie na wskróś katolickie. W Krakowie zwłaszcza czekały na całe rzesze ludu śląskiego nadzwyczajne łaski i stąd wychodzily podmuchy Boże na

młodociane dusze, tęskniące do Boga i dbałe o wielkość matki Polski.

Od roku 1880 aż do dni przedwojennych rosło jak na drożdżach i promieniało życiem duchownem i mrówczą pracą Zgromadzenie XX. Misjonarzy w Krakowie, na Kleparzu, na Stradomiu i w innych miastach i miasteczkach galicyjskich. Jeszcze za czasów założyciela swego św. Wincentego w środku wieku XVII przybyli Misjonarze na ziemię polską i jako wychowawcy duchowieństwa świeckiego i zarazem jako głosiciele słowa Bożego po wsiach i miasteczkach naszych zasłynęli wszędzie nauką i wymową, przedewszystkiem zaś skromnością i pracą. Nie byli i nie są zakonem w obliczu Kościoła, jeno zgromadzeniem księży świeckich pod regułą i posłuszeństwem żyjących i nie składają ślubów uroczystych — jednakże rzadko w którym zakonie surowym spotykało się tyle świątobliwości, tyle karności i tyle umartwienia, ile się widziało w starych misjonarzach, którzy po roku 1864 z Warszawy wygnani przybyli do Krakowa — i w tej młodszej generacji, co się wzorowała na tamtych.

W kościele naszym polskim zostanie zapisane Zgromadzenie XX. Misjonarzy krakowskich na miejscu naczelnem, z powodu wielkiej i gorączkowej poprostu pracy duchownej, mianowicie przez ostatnie lat trzydzieści. — Któż policzy misje przez nich odprawione po wszystkich zakątkach dawnej Galicji, kto zrachuje tysiące chorych i umierających po głównych szpitalach we Lwowie i w Krakowie, gdzie Misjonarze bywali kapelanami i te setki więźniów w tych głównych miastach, którym byli pocieszycielami? Kto godnie opowie te cuda miłosierdzia Bożego, jakie przez lat dwadzieścia działy się w misjonarskim kościółku na Kleparzu w Krakowie?... Pełne pociągi naszych ze Śląska, mimo szykan złego duchowieństwa i podłego rządu pruskiego przybywały do Krakowa, jak do polskiego Rzymu i kierowali się spragnieni Boga i miłości ojczyzny ku Kleparzowi... Tu trwali po kilka dni na rekolekcjach, które urządzano osobno dla poszczególnych stanów — i zwiedziwszy nadto

po uczcie duchownej i po odnowieniu się wewnętrznem znaczniejsze pamiątki krakowskie, na święty i pamiętny „obrok“ polski, wracały te rzesze odmłodzone i odświeżone, jako zwiastuny lepszej doli i jako apostołowie wiary katolickiej i rozsadnicy polskości.

Kiedyś, sprawiedliwy historyk najnowszych polskich czasów niepominie tej wielkiej i niespożytej zasługi XX. Misjonarzy na Gcrnym Śląsku, a i przy czekającym nas plebiscycie zapiszą się niechybnie złotemi głoskami nazwiska kilku księży Ślązaków — misjonarzy, którzy tam nawno się stawią i agitacją zbożną razem z dawniej pouczonym licznym ludem, jak być powinno, przechylą szalę na stronę polską.

Jako 14-letni młodzieniec zjawił się śp. X. Jerzy Głogowski na Kleparzu w Krakowie, jako jeden z tej setki przeszło, powołanych przez Pana Boga dzielnych i pobożnych Ślązaków, przez których miała później spływać nadzwyczajna łaska Boża na odnowienie ducha Pańskiego w Polsce całej, a mianowicie na ziemicy śląskiej. Miał w owe lata przed sobą wielkie wzory cnót, któremi słynęli tacy np. XX. Kiedrowski, sybirak Kamiński, uczony bardzo i o twarzy błogosławionego Mirucki i wielu, wielu innych, którzy wprost zabijali się w pracy dla Kościoła i dla ludu...

Wyrzekł nasz największy poeta znamienne słowa:

„...Świętym jest na ziemi,
Kto umiał przyjaźń zawrzeć ze świętymi“.

Tak jest; niepodobna było nie być świętym, niepodobna było hołdować obojętności — kiedy się widziało, jak złamani wiekiem i pracą starcy szli z sobą w zawody w pobożności i wyprzedzać się lubili w zachowywaniu nawet małych przepisów Zgromadzenia, gardząc wspaniałomyślnie wyjątkami i wygódek nie żądając, przez wzgląd na Boga i na dobry przykład... Więc w takiem otoczeniu i wobec takich wzorów musiał śp. X. Jerzy Głogowski za swych lat wzmagać się w cnocie i w nauce i zgromadził sobie skarb pobożności i doświadczenia, z którego mógł hojną

czerpać ręką, kiedy nareszcie w roku 1890 stanął jako kapłan przy ołtarzach Pańskich. Dziękował nieraz Bogu, w późniejszem, ciężkiem swojem życiu, gdy biły w niego trudności i gdy piętrzyły się w oczach przeszkody z tych stron, z których ich najmniej się spodziewał, że zbudował był życie swoje duchowne i budynek swój kapłański na mocnych fundamentach... Szedł wtenczas niewzruszony naprzód, cierpienia i niepowodzenia przyjmował jako rzecz zwykłą, po Bożemu — i krzepił się wspomnieniami i pobożnością, pielęgnowanemi w swych seminaryjnych czasach... Szczęśliwy ten — kapłan czy świecki — kto ma w sobie skarb wiary, nadziei i miłości, z którego dobywać mu łacno i pożytecznie wtedy, kiedy burze życia domagają się siły ducha i pociechy gotowej...

X. Jerzy Głogowski słynął przedewszystkiem tem, że miał nadzwyczajną miłość do Kościoła i wielkie, synowskie przywiązanie do Zgromadzenia, którego był członkiem, w którem nadto był superjorem i wice-wizytatorem, to jest rodzajem zastępcy głównego przełożonego prowincji polskiej-krakowskiej, X. K. Słomińskiego. Prawe i prawdziwie katolickie dusze miały zawsze tę główną cechę, począwszy od Apostoła narodów Pawła św., a kończąc na najzwyklejszym z dzisiejszych wiernych, że żywiły w sobie cześć głęboką dla Kościoła, który był im ukochaną matką; i brały zawsze żywy udział w radościach, w troskach i smutkach papieża, biskupów i kapłanów katolickich, widocznych rządców dusz ludzkich na ziemi. Kiedym nieraz wobec niego, może w zbyt surowych słowach, gderał na pewne nadużycia w rozporządzeniach tutejszych biskupów, on, pomny na wyraźne rozkazy wielkiego miłośnika Kościoła, św. Wincentego, ojca swego duchownego, umiał mnie delikatnie karcić dodając pobożnie: „Dajmy temu spokój. Módlmy się i sumiennie pracujmy dla naszego ludu, a wszystko wyjdzie na dobre“.

Spotykałem księży i świeckich ludzi, którzy oczywista przez pychę i przez nieświadomość nie mieli poszanowania dla zakonów i dla zgromadzeń w Kościele, lekceważąc nie-

kiedy tych, co Panu Bogu i Kościołowi życie swoje składają w ofierze w tej twardej służbie. Gdyby byli tacy, pyszni i nieświadomi, przypatrzyli się z bliska postępowaniu śp. X. Jerzego, zmieniliby prędko przekonania niemądre... Nie tu miejsce dowodzić, że zakony i że zgromadzenia w Kościele to są wybrane góry święte, to są nadzwyczajne ogrody Boże, przeznaczone dla wybrańców Pańskich. Nie tu także czas ani miejsce tłumaczyć, że butni, chciwi, niezakonni zakonnicy są jedynie wyjątkiem z reguły; i sami o tem najlepiej wiedą, że wykrzywiają zamiary Boże i kościelne; i że robią krzywdę wierze katolickiej, a sobie samym najwięcej... Ośmielę się jednakże zaznaczyć, że świat zazwyczaj niesprawiedliwe wydaje sądy o niejednym członku zakonu czy zgromadzenia, nie rozumiejąc stosunków i okoliczności niejednej.

Dia X. Jerzego Głogowskiego Zgromadzenie Misji było po Kościele świętym i w Kościele drugą matką, która go wykarmiła i przyjęła na swego. Czy się ktokolwiek odważy zarzucić mu i udowodnić rzecz jaką nielicującą z jego świętem powołaniem? Czy nie mial obowiązku trzymać czujnej straży nad honorem i nad pracą Zgromadzenia? Czy nie trawił w trudzie ustawicznym długich lat w Ameryce, i swoich własnych i swoich konfratrów, na to, żeby z tego rosła chwała dla Ojczyzny i dla Kościoła, chociaż może materjalnie działa się krzywda Zgromadzeniu samemu. Zaświadczą wszyscy, co go znali dobrze, że wierny zasadom Zgromadzenia, nie znał chytrości, ni samolubstwa, ani chciwości, ani tylu innych niekapłańskich i nie misjonarskich żądz i grzechów, i nauczył się tylko być dobrym włodarzem praw i obowiązków swoich.

*

* *

Dziwiła wszystkich ogromna, nadzwyczajna jego pracowitość, w kolegium, na misjach i w domu — na ambonie, w konfesjonale, w szkole i w kancelarji — wszędzie i zawsze. Miało się wrażenie, kiedyśmy patrzeli na jego

ustawiczne krzątanie się okoła spraw przeróżnych, że chyba dźwięczały mu ustawicznie w uszach owe słowa surowe Zbawiciela, które nam tak często powtarzano w seminarjum: „Żaden, który rękę swą przyłożył do pługa, a ogląda się nazad, nie jest sposobny do Królestwa Bożego". (Łuk. ewang. 9. 62). Kto wie, czy nie przeczuwał, że mu niedługie pisane życie kapłańskie, więc się zapracowywał, więc nie znał przemęczenia się i nie szukał odpoczynku?... A może chciwym był święcie obfitej zasługi, może nie śmiał męczyć i tak już pracą zbytnio zmęczonych kolegów — może pragnął im przodować przykłaoem i nadmiarem pracy?...

Niezmordowanym był zwłaszcza w słuchaniu spowiedzi św. i w dawaniu misji po naszych parafjach, a rekolekcji zakonnicom naszym polskim, które-to rekolekcje trzeba było dawać Siostrom podczas tak zwanych wakacji letnich, kiedy bywają tu w Ameryce straszliwe upały. Dla siebie nigdy nie szukał dłuższych wakacji, ani nawet krótkiego wywczasu, bo trzeba było „zarabiać" ciężką istotnie pracą, nie dla siebie jeno na Kolegjum, na Zgromadzenie. Do pracy ciągłej a sumiennej nie trzeba go było popychać, ani mu jej nawet przypominać, sam się pilnował i sam się do niej ochotnie wyrywał... — Zaiste, jeżeli co policzył mu tam przed Swoim Sądem litościwy Bóg, tę ciężką misjonarską pracę lat dwadzieścia przeszło, za którą, według zwyczajów Zgromadzenia, wszystko co otrzymał oddawał temuż Zgromadzeniu.

Zaznaczyć następnie i pochwalić w nim wypada, gwoli przykładu dla drugich, karność prawdziwie żołnierską, na wyższych powodach opartą, więc nadzwyczajne posłuszeństwo swoim przełożonym i sumienność wielką w większych i w małych rzeczach.. To jest również cechą dusz zacnych, że umieją rozkazywać i umieją słuchać, a wiernemi okazywać się pragną we wszystkiem Bogu i ludziom, nie pytając, czy w zaniedbaniu obowiązku byłby grzech wielki czy mały, czy uchybiłoby się sprawiedliwości ludzkiej, albo też grzeczności w sposób mocny czy słaby...

Kazano śp. Jerzemu przyjąć proboszczowanie w New Haven i następnie we Filadelfii — więc pierwsze i drugie miejsce ochotnie przyjął i sumiennie obowiązków pilnował... Kazali mu osiem lat temu porzucić Filadelfię, którą lubił i do której się przyzwyczaił, nie zawahał się ani na chwilę, ani się nie wykręcał, kiedy mu włożono na barki ciężkie brzemię rektorstwa w kolegium w Erie, Pa: posłuszny i karny powiedział krótko: „Dobrze“. A ile tu się namęczył i natrapił — ile może nocy przepędził bezsennych — gdy początki w tem kolegium były bardzo trudne, o ile prawdopodobnie to chodzenie w ustawicznym kieracie, bez odpoczynku i bez wytchnienia, przyczyniło się do jego wcześniejszej śmierci, to już samemu wiadomem jest Panu Bogu, bo śp. X. Głogowski skarżyć się nie nauczył, a cierpieć w cichości umiał, jak rzadko kto drugi...

Wspomnę tu, w związku z tą sumiennością jego, małą niby rzecz; lecz taką, która stawała się wielką, bo wymagała wielkiego zwyciężania się i wielkiej grzeczności: korespondencję z natury rzeczy musiał prowadzić rozległą, a cześć mu za to właśnie, że odpisywał zaraz, odpisywał natychmiast — i odpowiadał bardzo rozumnie, bardzo ściśle a pięknie, przytem wyraziście i tak kaligraficznie, żebyś niejeden mógł jego listy wziąć za drukowane... Jakiż-to wyrzut, powiem mimochodem, dla tych w Ameryce, świeckich i zwłaszcza duchownych, od których, nieraz miesiące całe nie wydobędziesz żadnej odpowiedzi, albo od których wreszcie, po długiem i częstem pukaniu, doczekasz się epistoły niegrzecznej albo nielogicznej!...

*

* *

Pisze mi jeden z jego konfratrów co następuje. „W początkowych trudnościach naszych byłto człowiek opatrznościowy, bo z chłodem znosił ciężary dnia i trudnościami się nie zrażał. W chorobie był do podziwu spokojny, zdany na wolę Bożą. Nie cierpiał by nad nim ubolewano, lecz powtarzał ciągle: To nic! Niech te cierpienia Bóg mi policzy

za czyściec...“ Znosił wszystko ze spokojem, o operacji mówił całkiem spokojnie, nawet żartobliwie.

Dominującą zdaje się w życiu jego i przy śmierci cnotą było skłanianie głowy przed wolą Bożą, było tej woli Bożej poddanie się zupełne, na dobre czy złe dopusty, było przytem serdeczne przyjmowanie ciegów Bożych i łączenie ich z prawdziwie chrześcijańską i kapłańską pokutą za za usterki i za przewinienia w życiu...

W niedzielę, dnia 29 lutego, umarł niemal zupełnie przytomny i po krótkiem westchnieniu o godzinie jedenastej przed południem, a pozwolił mu Bóg, że własną i wyrazistą jeszcze, jak zawsze ręką, napisał do X. Mazurkiewicza z New Haven o godzinie dziesiątej, w godzinę przed skonaniem tę piękne słowa: „Cały ten tydzień był dla mnie bardzo ciężkim i cierpiałem mocno, ale ofiaruję to Panu Bogu i przyjmuję to jako czyściec za grzechy... Módlcie się wszyscy za mną...“ Wysoce znamienną rzeczą w tym jego ostatnim liście, który będzie szanownym dokumentem w Zgromadzeniu, było dla mnie i to, że nie pominął napisania ślicznego misjonarskiego nagłówka, datującego się zwyczajowo od św. Wincentego, mianowicie: „Łaska Pana Naszego, Jezusa Chrystusa, niech zawsze będzie z nami!“ Takaż, druga dziwna rzecz, w tym samym liście nie zapomniał dodać pokornie, pod swoim podpisem inicjałów zwyczajowych, pięknych słów: „N. K. Zgr. M.“, to jest „Niegodny Kapłąn Zgromadzenia Misji“.

Dobra-to wróżba na szczęśliwość jego tam w wieczności, że schodził z tego świata z myślą o łasce to jest o miłości Bożej i o przyjaźni z Jezusem Chrystusem; dobry-to znak, że miał wielką wiarę i nadzieję niezłomną w cierpieniu i w ofierze pokutnej; prognostyk-to święty na jego zbawienie wieczne, że aktem pokory i zarazem przywiązania do powołania swego kapłańskiego i do Zgromadzenia zamknął i przypieczętował swój żywot...

*

*   *

Spoczywaj chwalebnie i ciesz się w szczęściu przed Bogiem. Przykład zacnego twego życia kapłańskiego i misyonarskiego i owoce twej pracy niechże będzie siejbą świętych kapłanów i nasieniem rozlicznych i wielkich cnót wpośród naszego ludu! Jak jesteś już, albo lada chwila staniesz oczyszczony z pomocą modlitw naszych przed Panem chwały i mocy, zechciej pamiętać tam pilnie i gorąco o tem, coś tu na ziemi najbardziej ukochał, o swoim kochanym Śląsku, o Polsce całej i o Kościele świętym, o Zgromadzeniu swojem miłem, — o nas, dawnych a wiernych kolegach i druhach swoich!

Ś. p. X. Wincenty Rożek.

W czasie inwazyi rosyjskiej w domu naszym w Białymkamieniu zmarł konfrater, nie tyle podeszły w latach, jak raczej wycieńczony mrówczą pracą i dłuższą niemocą, która ostatecznie doszczętnie organizm jego zniszczyła. Jeden z pierwszych wychowanków naszego Małego Seminaryum, a mało komu z młodszych generacyi bliżej znany, bo całe jego życie, jak deszczyk majowy ciche, a przecież pożyteczne Kościołowi, Zgromadzeniu i społeczeństwu, wśród którego wypadło mu pracować.

Urodził się w r. 1865 w Przeworsku, gdzie też pierwsze nauki pobierał. W r. 1878, kiedy właśnie świeżo zmarłemu Ojcu św. Piusowi IX. dzwoniono, rozeszła się wiadomość, że w Krakowie zakładają Małe Seminarjum i kandydatów zbierają. Zbiegło się wtenczas do naszych Sióstr kandydatów sporo; z tych jednak do przyjęcia nadało się tylko 6, a między nimi i ś. p. Ks. Rożek. Ci dnia 21 września tegoż roku wyjechali do Krakowa, gdzie księża wracający z Konwentu po wyborze Najprzew. O. Fiata już ich zastali w liczbie 12; połowa Przeworszczaków, reszta z innych stron Galicyi a jeden ze Ślązka pruskiego. Po ukończeniu kursów Małego

Seminarjum, dnia 3 września 1882 r. wraz z 5 innymi kolegami przyjęty został do Zgromadzenia i rozpoczął Seminarjum Internum, gdzie obok ćwiczeń ascetycznych kontynuowano dalej nauki: naprzód profana, a potem filozofię i teologię. Śluby św. złożył z kolegami dnia 5 września 1884 r. Jakże się wtenczas cieszył śp. Ks. Wizytator Soubieille, kiedy te pierwsze plony Małego Seminarjum Bogu się ofiarowały! Podówczas msza św. z asystą w kościółku kleparskim odprawiała się tylko na św. Wincenty, bo kleryków nie było, a księża byli pracami swemi zajęci; w tym dniu zarządził ks. Wizytator asystę, sam celebrował, popłakał się z radości, kiedy sześciu atletów bożych (rzecz dotąd niebywała u nas) jednego dnia Bogu się oddawało; potem co miał pod ręką, to im na pamiątkę dawał, a powtarzał: *Haec dies, quam fecit Dominus* — to dzień, który Pan uczynił... podobnego jeszcze nie miałem dnia w życiu, zwłaszcza w tej prowincyi...

Po ukończeniu studyów filozoficznych i teologicznych przyszedł czas na święcenia. Tonsurę i mniejsze święcenia otrzymał cały kurs razem dnia 9 października 1887 r.; wyższe zaś, ponieważ nie wszystkim lat kanonicznych starczyło, księża: Ciopalski, śp. Bystrzonowski i śp. Rożek otrzymali osobno, a trzej pozostali osobno, kiedy który wymagany wiek osiągnął. Subdyakonat otrzymali w kościółku naszym z rąk JEm. Kardynała Dunajewskiego dnia 28 października 1887 roku; dyakonat w Niepołomicach dnia 4 listopada tegoż roku a dnia 27 listopada t. r. znowu w naszym kościółku na Kleparzu na kapłanów wyświęceni zostali.

Teraz największa trudność dla ks. Wincentego — odprawić prymicye... Obok najrozmaitszych przymiotów, był jednak nieśmiały, kiedy przyszło publicznie przemówić czy zaśpiewać. Głos miał jak dzwon, słuch też akuratny; a od asysty, jak długo mógł, to się wykręcał. Z ćwiczeń seminaryjskich, najtępiej szło ze śpiewem, jakoś nut gregoryańskich nie mógł pochwytać. Wypadło teraz z prymicjami wystąpić. Od wyświęcenia aż gdzieś do Niepokalanego Poczęcia uczył

się w stancji całemi godzinami, aż jakoś poszło. Ta nieśmiałość w śpiewaniu została mu na całe życie. Dotąd opowiadają po Lwowie, co było trudności, kiedy przyszło nieboszczykowi z ks. Domaradzkim śpiewać nocturny za zmarłych u św. Wincentego. Mając przemawiać gromadził materjały z mrówczą skrzętnością, ale kiedy przyszło mówić, nie zmieniał głosu, ręką nie ruszył. Kiedy jeszcze w Seminarjum miewaliśmy nauki do ubogich, albo w refektarzu były próby, albo na katechizmach niektórych użyto, on jak mógł, uchylał się, żeby go nie wciągnąć, a mawiał, że najlepiej tak mówić, jak śp. ks. Siemaszko: głosu nie zmieniać, rękami nie ruszać, ale mówić spokojnie, jak konferencje w piątek. Tej też zasadzie mniejwięcej wiernym całe życie pozostał. A wielka szkoda, bo w wyszukaniu i obrobieniu tematów był niestrudzonym, tylko wysłowienie takie usypiające wiele skutku słowu bożemu ujmowało. Po wyświęceniu wraz z innymi dwoma kolegami wypadło śp. ks. Rożkowi pomagać w kościółku kleparskim, gdzie już od kilku lat ś. p. ks. Kowalik pracę rozdmuchał i ludzi ściągnął. Oprócz ludowych rekolekcji, które się tam zimową porą odprawiały, a na które garnęły się gromady po kilkaset liczące z gór i okolicznych wiosek, także w lecie nawiedzali Kraków a przytem i nasz kościółek Ślązacy, tudzież sąsiedzi z Królestwa i Galicji, a że ś. p. ks. kardynał Dunajewski jurysdykcji nie żałował, owszem prawie każdy misjonarz obok zwykłej jurysdykcji miał władzę a b s o l v e n d i a c a s i b u s r e s e r v a t i s, przeto utarła się między ludem kościółka naszego nazwa, że tu z najcięższych grzechów rozgrzeszają. Stąd żniwo w kościółku naszym wielkie, ale robotników mało. Ks. Mirucki chwilowo tylko siadywał u nas w konfesyonale, dopóki się na Stradom nie przeniósł, ks. Siemaszko rano w szkole u Sióstr, popołudniu u swoich chłopaków; zostali tylko: ś. p. ks. wizytator Soubieille, ks. Kowalik i ks. Kamiński, ale i ci nie mogli podołać, zwłaszcza, kiedy ks. Kowalik odjechał (9 marca 1888) do Cilli a ks. Kamiński objął po nim szpitalną pracę u św. Łazarza.

S. p. ks. Rożek siadywał całemi godzinami, zwłaszcza w dni targowe, w adwencie, W. Poście, na Zielone Świątki, Boże Ciało, przed kalwaryjskim i mogilskim odpustem, tudzież z okazji procesji różańcowej i zaduszek, kiedy więcej narodu naszło. W r. 1889 ks. Kiedrowski na Stradomiu poważnie zachorował, wypadło go zastąpić. W jego miejsce na stanowisko spirytualnego przy Seminarjum duchownem przeznaczony został ks. Kamiński, na posadę zaś skutkiem tej zmiany w szpitalu św. Łazarza opróżnioną, przeznaczono ks. Rożka. Nie było jeszcze podówczas kancelaryjnej pisaniny tylko czysto duchowna piecza nad chorymi; można też było tem swobodniej duchownym potrzebom chorych zadość uczynić. Ś. p. ks. Kamiński zaprowadził tu porządek, że żadnego chorego bez spowiedzi nie przepuszczono przez szpital. Spowiadał każdego zwykle naprzód zwykłą spowiedzią, a kiedy mu było lepiej i przygotował się przy pomocy Siostry oddziałowej, wracał do tych samych i spowiadał z całego życia. Księża Mirucki i Domaradzki miewali osobno u nich na salach nauki, a potem niejednego łaska boska ruszyła i przyszedł się wyspowiadać. Po innych oddziałach (na wewnętrznym i chirurgicznym) miewali nauki klerycy i młodzi księża W kościele była co niedzielę i święto nauką. Co zostało po swoim bezpośrednim poprzedniku, ks. Rożek to najskrupulatniej wykonywał. Codzień po południu szedł spowiadać po oddziałach i zaopatrywać chorych, a raniutko przychodził ze mszą św. i obnosił Komunię św. Nauki też co niedziela i święto miewał. Pracował w szpitalu od wakacyj 1889 do wakacyj 1902.

Zauważono w nim znaczniejsze zmęczenie fizyczne i radzono, żeby celem wypoczynku wyjechał do Lwowa: a zaledwie we Lwowie stanął, otrzymał polecenie, żeby jechał do Jezierzan na stały pobyt. Ani nie wrócił na Kleparz żeby się spakować, ale jak był, najbliższym pociągiem wyjechał na podolskie kresy do Jezierzan. Aleć ks. Rożek posłany tu był celem wypoczynku i rzeczywiście wypoczynek ten znalazł. Przy ciepłem sercu ks. Kiedrowskiego niczem były drobne

braki, w każdym początkującym domu nieuniknione, a porywająca jego wymowa, mistrzowstwo w prowadzeniu dusz dawało młodszym miłą sposobność przyswojenia sobie niejednej cennej zalety. Spotkał się tu z prostotą najdalej posuniętą, bo większość parafian najprymitywniejszych zasad katolickich nie znała. Starzy do konfesjonałów nie bardzo się naprzykrzali. Zaczęto pracę od młodzieży: szkółki ożywiono i zaczęto do nich dojeżdżać. Tego obowiązku najgorliwiej i najsumienniej pilnował ks. Rożek. Wyznaczono mu najdalsze dwie wioski do katechizacji t. j. Kolędziany i Dawidkowce — najtrudniej się do nich dostać — zwłaszcza do Kolędzian. Dzieci w obydwóch szkołach składane, t. j. należące do regularnej nauki, i nauki dopełniającej razem się gromadziły a czy z okazji mszy św., którą się tam co miesiąca odprawiało, czy też z okazji pogrzebu umiał się tam dostać, wpaść do szkoły, pouczyć dzieci, tak, że w tych dwóch wioskach najlepiej katechizm umiały. Pod koniec lipca 1894 otwarto nowy dom w Sokołówce obok Lwowa, dokąd w charakterze superyora wyjechał ks. Kiedrowski, a za nim i ks. Rożek przeniesiony został do domu św. Kazimierza we Lwowie. Tu zabawił lat kilka, będąc stale kapelanem szpitala św. Wincentego, a przytem zastępuje chwilowo w Pijarach naprzód zmarłego świeżo ś. p. ks. Tworowskiego, a kiedy tę posadę nasi przyjęli, pomagał ks. Cichemu; to znowu w zakładzie św. Marji Magdaleny zastępował ks. Blocka i razem z nim spowiadał Siostry nasze po wszystkich zakładach lwowskich. Codzień trzymał się żelaznego porządku, którym objęte były wszystkie czynności. Po spełnieniu czynności urzędowych, brał się do lektury, pisania nauk i exhort, których całe stosy nagromadził; potem znakomicie tresował służących w spełnianiu ich posług, a kiedy jeszcze chwilki wolnego czasu dorwał, szedł do ogródka drzewka poprawiać, szczepić, nowe sadzić, kiedy był czas po temu. Studjował metodę leczenia Kneipa i zaczął ją na sobie próbować, co bodaj czy mu nie zaszkodziło, zamiast pomódz? W Seminarjum był najzdrowszy i najsil-

niejszy ze swoich kolegów. Kiedyśmy pieszo szli w r. 1884 do Zakopanego, pędził jak jeleń i pierwszy u mety stanął.. Wtedy mu posłużyło Zakopane. Następnego roku oprócz zwykłych wycieczek począł się z ś. p. Musielakiem na ochotnika zapuszczać wieczorami na Czerwone Wierchy, gdzie ich nieraz deszcz spotkał, to się zmrozili, zaszargali ubrania. To nie tak dobrze podziałało na zdrowie. Obydwaj zaczęli pokaszliwać; jeden w Salonice już dawno umarł; a ks. Rożkowi bodaj czy Zakopane drugim razem nie było początkiem bied najrozmaitszych, które Kneip'em zamiast zleczyć pogorszył, aż wreszcie zeszłego roku przyszła katastrofa.

W roku 1901 szukano starszego konfratra na rezydenta w domu Witków Nowy i zwrócono uwagę na ks. Rożka. Już wysłał swoje Kneipowskie przybory i nieco książek; sam miał się na to stanowisko przenosić, gdy przyszło odwołanie i na dawnej placówce został we Lwowie.

Dopiero kiedy w roku 1903 osiadło Zgromadzenie w Białym kamieniu i ks. Wilh. Wrodarczyka wezwano na Superjora tamże, ks. Rożek naznaczony został w jego miejsce na Superjora w Sokołówce.

W roku 1905 przeniósł się znowu do dawniej znanych sobie Jezierzan. Od ostatniego pobytu w tym domu wiele się zmieniło; lud się rozruszał, po wsiach pobudowano kaplice, odwiedzanie szkół ułatwiono przez regularne dostarczanie podwód. A gdy ówczesny Superjor ks. Buchhorn równocześnie jako Dyrektor misji wschodnich musiał często wyjeżdżać, to i dobrze było, że taki domesticus fidei, tu osiadł i porządku domowego pilnował. Zdrowie tylko zaczęło mu niedopisywać chwilami, głos coraz słabszy; a w Jezierzanach trzeba dobrze krzyknąć, jeżeli się chce, aby ludzie wyrozumieli, o co chodzi i w czasie kazania nie usnęli. W r. 1907 potrzebowano konfratra starszego, któryby z domu w Białymkamieniu dojeżdżał regularnie do kościoła filialnego w Uszni — i na tę właśnie posadę wyjechał ks. Rożek pod koniec sierpnia tegoż roku, a przebył na niej okrągło lat osiem. Nie wiele szczegółów z tego czasu doszło o nim

do naszej wiadomości; ale kto go znał przez cały szereg lat, to łatwo przypuścić może, że się w niczem nie zmienił jak pracował kiedyś w szpitalu, później na dwa zawody w Jezierzanach a i tu we Lwowie, gdzie było potrzeba, spieszył chętnie z pomocą, tak z tą samą pilnością spieszył do pracy na wyznaczonym mu posterunku.

W czasie inwazyi rosyjskiej zjawił się tu we Lwowie wyschły, wynędzniały, zmarnowany, żeśmy go poznać nie mogli. Zabawił jakiś czas, zasięgnął rady lekarzy, nakupił sobie lekarstw i zdawało się, że go kuracja podniesie na nogi. Tymczasem zaledwie nieco nogi mu sklęsły, zaczął się na siebie użalać: „Ja tu leżę, a tu Post, tyle pracy mają tam konfratrzy w Białymkamieniu“. To powiedział jednego dnia, a nazajutrz przybył tu jakiś dzierżawca Sióstr z Białegokamienia. Z nim siadł na wózek i wyjechał, żeśmy nawet nie wiedzieli kiedy. Tutejsi lekarze specjaliści zbadawszy go orzekli, że to „Carcinoma ventriculi“ (rak żołądka). Zdradliwe to choróbsko wkrada się do organizmu długo, dopiero kiedy go zniszczy, atakuje gwałtownie. I nieboszczykowi zdawało się ustawicznie, że choroba ustąpi, że wróci do sił i będzie mógł dalej pracować; tymczasem dnia 14 sierpnia nagle tak mu się pogorszyło, że ks. Pawłowski nie skończywszy mszy św. zaledwie zdążył z udzieleniem mu Ostatniego Namaszczenia; pod jego ręką skończył. Pogrzeb odbył się w Białymkamieniu w samą uroczystość Wniebowzięcia N. Panny 1915 r.

Z cnót, jakimi nas budował nieboszczyk, zaznaczyłbym naprzód jego pracowitość. Bez zdolności nie był, ale też nie można powiedzieć, żeby go P. Bóg geniuszem stworzył. Te średnie dary, jakie od Boga otrzymał, pracowitością pomnożył i na pożytek dusz, które się z nim zetknęły, umiał zużytkować. W ciągu dnia wchodząc przypadkowo do jego stancji, to się go zastało to przy brewiarzu, to z koronką w ręce, to nad jakąś książką, to — co najczęściej bywało — piszącego w księdze, których miał całe stosy, a podobno drugą połowę (jeżeli nie więcej) spalił.

Obok pracowitości budował każdego pobożnością. Nie byl zwolennikiem przedłużania nabożeństwa pacierzami dodatkowymi, albo jakiemi westchnieniami, ale to, co Kościół święty przepisuje, czy w brewiarzu, czy przy czynnościach duchownych, wypełniał, jak nakazane: integre, attente et devote. Pamiętamy, jak się oburzał na Konwencie widząc gdzieś, jak któryś z młodszych w czasie czytania Pisma św. przy stole gazetę przeglądał.

Z usposobienia jakiś zawsze małomówny i zamyślony, czasem uszczypliwy w wyrażeniach, miał przecież serce dobre i miłosierne. W posłudze biednych najwięcej się cieszył kiedy natrafił ubóstwo skrajne i takie bez rękawiczek i strojów. Do takich zaniedbanych, cuchnących, zabrudzonych najchętniej spieszył. Wobec nich to i dowcipkiem ruszył, a bardzo często i poratował, mając dosyć znaczną ilość prywatnego grosza.

Niechże ś. p. ks. Rożek odpoczywa w pokoju. — *Requiescat in pace.* *X. J. Sokołowicz:*

Ś. p. X. Jakób Konieczny.

Każda ofiara, którą nieubłaganie śmierć garnie, jest przykrą i bolesną. Umrze staruszek zgrzybiały, wypracowany weteran, z żalem go żegnamy, bo się serca zżyły przez długie lata i radzibyśmy jeszcze dłużej się nim cieszyć — i jak najdłużej. Padnie pod ciosem śmierci młoda krzewinka, znowu nam żal, bo gdyby tak Pan Bóg był życia przyzwolił, ta młoda siła mogła się rozwinąć, do pracy przywyknąć, społeczeństwu usłużyć, Zgromadzeniu pomódz. Ale podobno najboleśniejszy cios wymierza śmierć, kiedy zabiera ludzi w sile wieku, kapłanów, którzy już nie jedną skibę w winnicy Pańskiej przewrócili a jeszcze mogli długo i skutecznie Kościołowi służyć, gdy w tem znagła, niespodziana śmierć pasmo dni ich przerywa — to strata najboleśniejsza. A wła-

śnie w chwili, kiedy z poza czarnych chmur obecnej wojny zaczyna się dla prowincyi naszej jakaś jaśniejsza zapowiadać przyszłość, kiedy na rozmaite strony żniwo się dla Matuchny Naszej sposobi, tak ją Bóg doświadcza, jak kiedyś Abrahama, któremu obiecał, że potomstwo jego nad gwiazdy nieba i nad piasek morski rozmnoży, a równocześnie żądał ofiary jedynego syna Izaaka; i jak Gedeona, któremu poleca rozbić Madjanitów, a równocześnie przerzedza mu hufce walczących. I nasze gwiazdy jedna po drugiej gasną, cegła po cegle się kruszy; żniwo się zapowiada wielkie, a żniwiarze ustają... I u nas znowu w Krakowie jeden ze żniwiarzy naszych, który przez 28 lat z jednego stanowiska na drugie przeskakiwał, gdzie go Zgromadzenie zapotrzebowało, szedł i pomagał, w szczerości serca nie wiedząc, co to znaczą jakieś wakacje czy wczasy; owszem bez wytchnienia jarzmo Pańskie ciągnąc. Przez całe życie nie chorował nigdy; to też jak grom z jasnego nieba przeraził nas telegram donoszący, żę ks. Jakób Konieczny zmarł! Szkoda wielka — zawołaliśmy wszyscy — chociaż dotąd wierzyć się nie chce tej smutnej i bolesnej rzeczywistości. Kto mógł, pospieszył z ostatnią przysługą zmarłemu, a na tem miejscu słów kilka wspomnienia o nim godzi się podać.

Przyszedł na świat ś. p. ks. Konieczny w Przeworsku w samą uroczystość Księcia Apostołów św. Piotra, co jakby było zapowiedzią, że się będzie cieszył osobliwszą św. Apostołów opieką, a tych opiekunów swoich wypadnie mu też w życiu naśladować w pracy apostolskiej. Na chrzcie św. otrzymał imię Jakóba Apostoła. Do Małego Seminarjum w Krakowie stanął w dniu 21 września w dzień św. Mateusza Apostoła 1878 r., jako jeden z pierwszych wychowanków, których na początek apostolską liczbę 12 pozwolił Pan Bóg zebrać. Całe życie jego, naprzód pod opieką Zgromadzenia, następnie w samem Zgromadzeniu czemże innem było, jeżeli nie przygotowaniem sieci, a następnie łowieniem dusz ludzkich za przykładem św. Apostołów? A kiedy przebiegł nieoledwie całą Galicyę zawadzając pod koniec ży-

wota swego o krainy niedawno krwią męczeńską unitów przesiąkłe, doczekał się kresu gonitwy swojej, której koroną była ta okoliczność, że zwłoki jego ułożono na wieczny spoczynek w grobowcu krakowskim w sam dzień jego patrona św. Jakóba Apostoła.

Od ławy szkolnej odznaczał się dziwną powagą. W Przeworsku sale były przepchane drobiazgiem, a element mazurski zawsze ruchliwy. To też przed lekcjami nim się nauczyciel zjawił, rozmaicie bywało; jeden tylko Kubuś to sobie paciorki szeptał, to zadanie powtarzał. Za to kiedy się lekcja zaczęła, a wyrwał go nauczyciel, było co posłuchać. Wypuścili ze szkoły, jeszcze bardziej to mrowie dokazywało, a Kubuś cichutko poza aptekę umykał do ciotki, która się nim opiekowała i dla której też dozgonną wdzięczność zachował. Dobrze jednak w Przeworsku uczyli, bo później w Małem Seminarjum prawie przez dwa lata była tylko powtórka tych przedmiotów, których tam uczono, za to łacinie i innym dotąd nieznanym przedmiotom można było dokładniej się poświęcić. Skończył te wstępne nauki nieboszczyk, gdy prawie wielkiemu Papieżowi Piusowi IX. dzwoniono; a jakoś równocześnie rozeszła się wiadomość, że w Krakowie zbierają młodzież, żeby ją na misjonarzy uczyć. W korespondencji pośredniczyła ówczesna przełożona Sióstr Miłosierdzia śp. Siostra Apolonia Giżewska, a bardzo liczne wtenczas Stowarzyszenie Dzieci Marji pomagało w roznoszeniu dotyczących wiadomości. Z pod przeworskiego dzwonu, aż sześciu kandydatów do tej apostolskiej szkoły stanęło. Wyjechali wszyscy dnia 21 września 1878 roku do Krakowa, gdzie już zastali dwóch innych kolegów, razem z nimi jechał z Załoziec 1, a później nieco jeszcze się dwóch przyłączyło tak, że cały ten pierwszy kurs doszedł do upragnionej apostolskiej liczby 12, bo jeden zaraz odpadł.

Lata przeznaczone na niższe studjum gimnazjalne szybko przeminęły, a gdy równocześnie nasze Seminarjum Internum zupełnie wyludniało, Starsi nasi uchwalili, żeby najstarszy kurs Małego Seminarjum przeprowadzić do Se-

minarjum Internum, gdzie czekały w dalszym ciągu studya gimnazjalne a następnie filozofia i teologia. Z dwunastu utrzymało się tylko sześciu, między nimi i ks. Konieczny. Jeżeli przełożonym tak zależało na tem, żeby mieć kleryków w Seminarjum, to dla tego, żeby nieco boską chwałę w kościółku naszym podnieść. Nieboszczyk, malutkiego wzrostu, do asysty się nie nadawał; zato ucho miał wyrobione, głos miły, to go do śpiewu brano. Do kościółka zaś kleparskiego oprócz sąsiadów z Krakowa, zaczęły się właśnie w tym czasie gromadzić coraz potężniejsze zastępy naprzód Górali, potem Lachów, Kleszczaków, Słowaków (z Orawy) aż wreszcie ruszyli się Ślązacy poczciwi, a obok nich i sąsiedzi z Królestwa. Na ambonie jawił się z początku ks. Soubieille wizytator, tudzież twórca tych ludowych rekollekcji X. Kowalik, później przemawiał czasami X. Bąkowski a bardzo często X. Kiedrowski, który zwykle górali „naszą żywą teologią" nazywał. Kleryczek jeszcze się pastoralnej nie uczył, a swoją drogą nie było to bez wpływu na niego, kiedy przypadkowo wpadł na chórek, podsłuchał nauki, w prostocie serca temu ludowi wygłaszanej; albo choćby tylko zobaczył te masy narodu ciągnące do kościółka, który „swoim" nazywali, ślęczące tu o głodzie i chłodzie przez kilka dni. Kiedyśmy się teologii uczyli — pisał O. Fiat do wizytatora ks. Soubieille'a — że myśli w Rzymie otworzyć dom międzynarodowy dla wyższych studjów teologicznych i zapytywał, czyby nie mógł bodaj jednego kandydata do tego domu wysłać? Wtenczas zaczęły się oczy zwracać ku dwom z naszego kursu, a między nimi był X. Konieczny. X. Kowalik znowu gdzie mógł, propagował sprawę swoich ludowych rekollekcji. Przyszedł nieraz *servatis servandis* do seminarjum, żeby mu czupryne oporządzić. Przez cały czas operacji perswadował nam, jak będziemy księżmi, żeby nie mówić floresów, bo na to szkoda pary, ale po prostu, żeby naród rozumiał o co chodzi. Wspominał też o sobie, że kiedy był w świeckim seminarjum, chciał go biskup na doktora a potem i profesora teologii wykierować. Zajechał

do Wiednia, zaczął na uniwersyteckie wykłady chodzie Myśli sobie potem: Ładnie ci profesorowie rozprawiają, ale gdyby tak któremu przyszło chłopa z całego życia wyspowiadać, bodaj czyby dał radę? Rzucił wszystko, pojechał do Paryża, wstąpił do misjonarzy — i wcale tego nie żałuje. Ks. wizytatorowi Soubieillowi swoją drogą projekt O. Generała nie bardzo był na rękę, bo w prowincji miał zaledwie kilku schorzałych staruszków, a praca coraz więcej się rozwijała. Skończyło się na tem, że Paryż na razie o kandydatów do głębszych nauk nie urgował, a cały nasz kurs mógł się pracy nad ludem poświęcić.

W październiku 1887 r. tonsurę i mniejsze święcenia otrzymał jeszcze cały kurs razem. Poczem konfratrzy mający wiek przepisany, otrzymali jeszcze tego samego roku i wyższe święcenia; inni czekali, aż dosięgną wieku wymaganego Nasz ks. Jakób otrzymał święcenia subdyakonatu w pierwszą niedzielę postu 1888 w kapliczce SS. Miłosierdzia na Kazimierzu; dyakonat w Morawicy w dniu św. Bartłomieja Ap. a presbyterat znowu w kapliczce Matek Miłosierdzia na rogu ulicy Zwierzynieckiej (gdzie dziś drukarnia Anczyca) w połowie listopada 1888 roku. Bierzmowania i wszystkich święceń udzielił mu ś. p. ks. biskup (później kardynał) Dunajewski.

Po wyświęceniu przez trzy lata pomagał w kościele, a przytem uczył w Małem Seminarjum. W r. 1891 wyjechał ks. Rossmann na stały pobyt do Jezierzan a w jego miejsce kierownictwo zakładu powierzono ks. Jakóbowi. Nie tu miejsce wdawać się w ocenę jego metody wychowawczej. Najlepiej drzewa poznają z owoców. W prostocie serca jak umiał, tak spełniał włożone na jego barki i sumienie obowiązki. A skutek był taki, że przez 5 lat jego dyrektorstwa najwięcej wychowanków się utrzymało, dzisiaj są doktorami, profesorami, ozdobami i pociechą prowincji. Sam mistrz tak daleko nie sięgnął, bo w randze zwykłego, jak się nazywał „broniaka“ żył i poszedł po nagrodę do Pana.

Po wakacjach roku 1896 nastała chwila bolesna dla X. Jakóba: kierownictwo Małego Seminarjum powierzono komu innemu, a on został przeznaczony do misji. Z początku sam nie chciał wierzyć, żeby ta zmiana miała być faktem dokonanym. Jechał, kiedy wypadło na misje, ale ustawicznie spodziewał się odwołania, które go do ukochanych chłopaczków przywróci. Wreszcie pogodził się z losem, popisał całe stosy amunicji kaznodziejskiej i bujał po misjach rzetelnie. Obok dyrekcji Małego Seminarjum był też przez kilka lat prefektem kościoła. Z tego czasu zostawił po sobie na pamiątkę organek w miejsce dawnej harmonii. Zaraz jakoś z polska zaczęło się w kościółku naszym wszystko stroić, kiedy się organ posłyszało.

Jeszcze boleśniejszą była dla X. Jakóba chwila znowu po wakacjach 1901 r. kiedy trzeba było Kleparz kochany pożegnać a przenieść swoją rezydencję do Witkowa Nowego. Stanął tu w charakterze asystenta domu, a następnie w miejsce X. Rossmana został superjorem domu i proboszczem parafii. Jako asystent witkowskiego domu wyjeżdżał na misje do wschodniej Galicyi. W samym roku 1901 pod jesień pracował na dziesięciu misyach, następnego roku przewodniczył misyi w Stojanowie. Jako superjor domu i proboszcz parafii już nie mógł z domu tyle się oddalać, za to pracował więcej w miejscu. Przebył w Witkowie okrągłych lat 12. W tym czasie miał po dwakroć wizytę kanoniczną, nosił się z zamiarem odprawienia w Witkowie dla swoich parafian i dla sąsiadów misji poważnej; jednakże zawsze coś zachodziło i ostatecznie do tego nie przyszło. Natomiast postarał się o kanoniczną erekcję Wiecznego Różańca. Uroczystość M. B. Różańcowej tudzież Nowy Rok zaczęto obchodzić uroczyściej, bywały procesje z Ewangeliami, zjeżdżało się więcej księży, była sposobność dla swoich i obcych wyspowiadania się, z czego też licznie korzystali. Nabożeństwo do Serca P. Jezusa, które po poprzedniku zastał, gorliwie podtrzymywał — tak zwane Sercówki odpra-

wiały się w każdą pierwszą niedzielę miesiąca, jak i zmiany tajemnic w następną niedzielę z naukami.

Tyle zbożnych zarządzeń widząc, słusznie chwalili sobie Witkowianie i mówili między sobą: „Chryste Panie! co się to z tego Witkowa zrobiło!“ Z socjalnych spraw zaprowadził w Witkowie Kółko rolnicze, przy którym powstał sklep katolicki, tudzież kasę Reiffeisena. Udało mu się też wznieść wspaniały budynek na pomieszczenie sklepu katolickiego. Do prowadzenia sklepu sprowadził Służebniczki N. P. w Dębicy, a te oprócz sklepu prowadziły też ochronkę. W tym budynku była też sala dosyć obszerna służąca do przedstawień teatralnych, które tu coraz więcej odgrywano. Parafijka mała, bo zaledwie coś 700 dusz licząca, nie mogła się zdobyć na porządnego organistę. Był jakiś stary pijaczyna a organ też do niego dobrany, że tylko ten staruszek umiał jako tako na nim przebierać. Zabrakło niedługo staruszka a organ też wypowiedział posłuszeństwo. Za to parafia cieszyła się proboszczem, który i tej biedzie potrafił zaradzić. Organ sprawił nowy, czy stary przerobił — dość, że wcale dobrze gra, i każdy, kto umie grać, da mu rady. Sam śpiewak i muzyk wyśmienity, chociaż konserwatorjum żadnego nie kończył, potrafił na każdym instrumencie zagrać, Zaczął tedy zbierać chłopaczków i uczyć organistostwa. Tym sposobem zapoczątkował szkołę organistów w Witkowie; a dobrze się na to Witków nadawał, bo obok plebanii była szkoła szewska daleko w świecie zé swoich wyrobów słynąca. Kandydaci na organistów wiejskich czy miasteczkowych mogli się też szewstwa poduczyć, a nadtem żeby organistom naszym dać uboczne zajęcie i przytem zarobek od szeregu lat myślano i myślą bez konkretnego skutku. A przecież to sprawa taka piekąca. Dzielnie ją też pierwszy Witków zainicjował, zaczęto mu z drugiego końca Galicji posyłać kandydatów; bodajby i teraz było komuś sprawę tę podtrzymać! Znał się też i na innych instrumentach ks. Konieczny. To mu pomogło do rozwinięcia orkiestry, którą tu po poprzedniku zastał, a która do uświetnienia nabożeństw, tudzież

przy odgrywaniu teatrzyków wiele pomagała a z niej i ciekawsi kandydaci na organistów korzystali.

Tyle mając zajęć w miejscu, mało z domu wyjeżdżał, zwłaszcza na czas dłuższy. Nie mógł się wybierać na cały szereg misji, ale na pojedyncze misje, zwłaszcza do swoich dawnych znajomych księży, zawsze chętnie nadskoczył. Dosyć często też dawał rekollekcje Siostrom naszym w Marjampolu, to we Lwowie i w Centralnym domu. w chełmińskiej prowincji nie był nigdy. W dekanacie chyba rzadki odpust, żeby na nim słowa bożego nie głosił i spowiedzi nie słuchał, to samo w Milatynie. A kiedy który z jego dawnych wychowanków u ołtarza stanął, wszystko rzucił a spieszył aż na Śląsk, żeby mu na prymicjach pogratulować. Książkę ekskursji wiernie prowadził, notując w niej prace w obrębie parafii jak i poza parafią podjęte, co wszystko pod koniec roku w sprawozdaniu przesyłał P. T. Władzy prowincjonalnej, a następnie nie jeden szczegół tą drogą do „Roczników“ się dostał. W swoim czasie pisały „Roczniki“ nasze o zaprowadzeniu W. Różańca tom IX. str. 105 i następne, o Kółku rolniczem tom XI. str. 284, o kasie Reiffeisena tom XIV. str. 260.

Tak się napracowawszy we Witkowie 12 lat mógł sobie powiedzieć na końcu ks. Jakób: Cóż miałem zrobić jeszcze w winnicy mojej, a nie uczyniłem? Za tyle poświęcenia i pracy zbliżała się chwila nagrody. Nagroda zaś ta nie miała mieć formy, jaką świat zachowuje, ale jaką daje Pan Bóg — czekał go znowu krzyżyk i to bolesny. Po śmierci ś. p. Stanisława Badeniego, fundatoru domu w Witkowie, sprawy zaczęły się nagle gmatwać tak dalece, że przełożeni uznali za stosowne dom ten zwinąć, a ks. Koniecznemu wypadło być świadkiem likwidacji tego domu. Tak się jakoś fatalnie sprawy ułożyły, że pod koniec urzędowania w Witkowie przypadała 25 rocznica jego święceń kapłańskich i ta go jeszcze w Witkowie zastała. Nazajutrz przyjechał umarnowany, strapiony i zbolały, — żeśmy go poznać nie mogli — do Lwowa. Było to w połowie listo-

pada 1913 r. Następnego dnia ruszył do Krakowa, gdzie został mianowany asystentem domu kleparskiego. Tu pomagał w kościele, to czasami na misje wyjeżdżał, to chodził czas jakiś do szpitala św. Łazarza chorych spowiadać, a w czasie inwazji pracował przy rannych żołnierzach, następnie wyjechał na dłuższy czas do Chocni w Czechach pracować nad uchodźcami. Z tamtąd odwołany wyruszył na misje w Lubelskie, gdzie zaczął poważnie niedomagać. Wrócił na Kleparz, niemoc, zdawało się, minęła, gdy w samą wilję św. Wincentego nastąpił atak apopleksji, który też za kilka dni tego bohatera powalił, wywołując przerażenie i żal niekłamany, w całej prowincji. Stratę jego teraz dopiero odczuć możemy, kiedy go brakło.

W chwili kiedy zacząłem te uwagi notować, pisze mi o nieboszczyku jeden z konfratrów: Był to *vir simplex, rectus ac timens Deum*. Udało mu się, bo rzeczywiście — to chyba najlepsza charakterystyka umarłego: prostota, szczerość i bojaźń boża. Prostota pod każdym względem. W mowie wolał nieraz trywialnością trącić, aniżeli czczemi frazesami się bawić, albo mówić rzeczy dla słuchacza niezrozumiałe. Kręcić wcale nie umiał. Gdzie naznaczyli, poszedł, co wypadało zrobić, zrobił. Podobno i teraz kiedy już z Witkowa na Kleparz przybył a tam organisty nie było, grywał na chórze i nie ubyło go. W ubraniu nie cierpiał wykwintności i elegancji świeckiej, a otaczał się prostotą. Kiedyś przed laty sprawił sobie kapelusz szeroki i parasol, który jak pastorał nosił. Odfotografowali go tu na jakimś zjeździe z tym przyborem — a jedno i drugie zawiózł na Kleparz.

Bojaźń boża nie tyle taki *timor servilis*, jak raczej *reverentialis* była u niego wielka. Biedną miał parafijkę a przecież dbał o aparaty kościelne, kielichy co trochę przywoził do pozłacania, a jeżeli przymnożył odpustów w parafij, to na to, żeby się ludzie mogli częściej wyspowiadać i ułomności wyzbywać. Sam pobożność serdeczną pielęgnował starannie. Kiedyśmy się ostatni raz widzieli, żalił się, że czasem już nie może Nowego Testamentu odczytać, bo druczek

drobny, a w podróż z wielkimi księgami niejako się wybierać. Kiedy znowu opuścił, to jakby sobie nie pojadł. Kiedyś jeszcze za kleryckich czasów wybraliśmy się pieszo do Zakopanego na kilka dni. Każdy wziął tylko koronkę, a do medytacji nie można było wziąć autora, bo tylko jedna książka była wtedy (Abelly) i to potrzebna dla wspólnego użytku w oratorjum. Cały czas narzekał, że chociaż się tu ładne góry widzi, to jednak bieda, bo dla duszy strawy zabrakło.

Jeszcze jeden taki znaczący w nieboszczyku uderza przymiot, to mianowicie, że chętnie w jednem miejscu siedział, a nie cierpiał zmian, przenoszenia się z miejsca na miejsce. Od wyświęcenia, 13 lat przesiedział na Kleparzu, we Witkowie 12 lat i resztę życia znowu na Kleparzu. O zmianę sam nigdy nie prosił, a kiedy był wezwany, szedł bez targu. Przez 28 lat kapłaństwa w 3 tylko mieszkał domach.

Do śp. X. Jakóba możnaby zastosować to orzeczenie pisma św. *Dilectus Deo et hominibus.* Był dla nas miły, pożądany, radzibyśmy byli jeszcze długo się nim cieszyć, ale widocznie był też *Dilectus Deo* i Pan Bóg go sobie upodobał, dlatego pospieszył się wyrwać go z tej ziemi krwią zalanej, a spracowanego żniwiarza wezwać na miejsce ochłody. To też nie tyle za nim żałować, jak raczej zazdrościć mu wypada a Pana Jezusa prosić:

Dobry Jezu a nasz Panie,
Daj mu wieczne spoczywanie!

X. J. Sokołowicz.

Św. pamięci, Siostra Albertyna Kusch, Siostra Karolina Pelc i Siostra Balbina Przywedzka.

Oprócz wspomnianych dziejów inwazji rosyjskiej, Pan Bóg chciał nas także doświadczyć, bardzo boleśnie, bo śmiercią trzech naszych najlepszych towarzyszek.

Wszystkie trzy nie chciały tu mieszkać, wszystkie trzy najwięcej obawiały się Moskali, bardzo więc być może, że

dobry Bóg wysłuchał ich. A widząc ich dusze wzbogacone zasługą, gotowe stanąć przed Obliczem Jego, wziął je do siebie, nagradzając wieńcem nieśmiertelnej chwały.

Już w czerwcu 1916 r. wojska austrjackie cofając się od Buczacza, ewakuowały okoliczną ludność. Jednego dnia sprowadzono do 2 tysięcy mieszkańców z Koropca do Marjampola. Biedacy tułali się bez dachu nad głową, o głodzie i chłodzie, wskutek czego wybuchł pomiędzy niemi tyfus plamisty. Od nich zarażali się miejscowi gospodarze, a nasza nieodżałowana Siostra Albertyna Kusch ze zwykłą sobie gorliwością, leczyła ich po chatach, przyjmowała w aptece, bo lekarza wcale nie było. Nieoceniona ta Siostra nie wiedziała, co to zmęczenie w służbie dobrego Pana. Wieleż to razy wróciwszy ze wsi wyczerpana i zmordowana, ubolewała jeszcze, że nie mogła im dogodzić, tak jakby chciała. Podziwiałyśmy jej wielką miłość dla ubogich. Największą radość sprawiało jej to, gdy mogła z zapomnieniem o sobie służyć ubogim. To też zmartwiła się bardzo, gdy przez wzgląd na jej zdrowie, ograniczone były godziny pracy w aptece. Nagradzała więc sobie, idąc w wolnych chwilach na wieś do swoich biedaków, oczyszczając ich, ratując w nędzy i pocieszając. Tam też nabawiła się tej strasznej choroby. Nie poddając się jednak, pracowała dalej, nie wspominając nawet o sobie. Dopiero 10 lipca gdy już na nogach utrzymać się nie mogła, położyła się wcześnie, prosząc, byśmy się nie martwiły, bo to tylko chwilowe zmęczenie, które wkrótce przejdzie. Niestety temp. 39·8 a nazajutrz rano 40·2 nic nie wróżyły dobrego. Lekarza nie było żadnego i trudno było go sprowadzić! Symptomata tyfusu były już bardzo wyraźne. Oddzieliłyśmy więc naszą ukochaną chorą. Tymczasem zjechali się lekarze z Wodnik, Stanisławowa, Korościatyna i z linii bojowej, którzy tylko potwierdzili nasze obawy.

Z jakąż czcią wyrażali się o niej, jak wysoko podnosili jej poświęcenie. To też wszelkiemi siłami, starali się wyleczyć ją — niestety, Bóg chciał inaczej.

Zycie jej przedłużało się tylko sztucznie podtrzymywane lekarstwami. 19 lipca okazało się kilka plam, wielkości dłoni. Lekarze orzekli, że to gangrena, wskutek zbyt silnego jadu tyfusowego. Podczas gdy my czułyśmy się przygnębione naszem nieszczęściem, droga nasza chora. była zupełnie spokojną. Cicha, cierpliwa, posłuszna jak dziecię, wdzięczna za najmniejszą usługę, była nam prawdziwym wzorem.

Jeźli dopiero w chorobie poznać można cnotę człowieka, to nasza dobra towarzyszka, posiadała ją w bardzo wysokim stopniu. Choć cierpiała strasznie, bo od pierwszej chwili choroby, była już prawie bezwładną. Nigdy najmniejszego niezadowolenia nie można było dostrzec w jej twarzy, owszem starała się uśmiechem i słowem rozbudzać w nas otuchę. Przytomną była do samej śmierci, chwilami tylko zamajaczyła, ale jakżesz święta dusza przebijała się w jej słowach. Pytała tylko czy ubodzy nie odeszli z niczem, czy wystarczyło dla wszystkich pożywienia, czy nie są głodni i nie brakuje im czego? Prawie codzienną Komunję św. i ostatnie Sakramenta przyjęła z prawdziwie szczerą, dziecięcą miłością. Nadeszła wreszcie niedziela 23 lipca o godzinie 1-szej w południe osłabła bardzo, lecz choć jak nam się zdawało, byłyśmy przygotowane na tą straszną chwilę, nie mogłyśmy jednak słowa przemówić. Dobra tylko Siostra Pelc zaczęła odmawiać modlitwy przy konających. Nasza chora tymczasem cichutko, spokojnie, bez najmniejszego wysiłku, owszem, z wyrazem szczęścia skłoniła głowę i oddała swą piękną duszę Boskiemu swemu Oblubieńcowi. Nie mogłyśmy zrozumieć, czy to prawda, że już ją straciłyśmy. Szczególnie dziwiło nas to błogie szczęście, malujące się jeszcze na jej twarzy, jakby odblask tego, którego już zażywała pewnie w niebie, za usługi oddane Zbawicielowi w osobie ubogich. Jakże powołanie nasze musi być wzniosłe, kiedy w niem można umierać tak spokojnie i święcie. Prawdziwie sprawdzają się tu słowa św. naszego Założyciela, że „kto za życia kocha ubogich, bez trwogi widzieć będzie zbliżającą się chwilę zgonu swojego“.

Pogrzeb śp. S. Albertyny świadczył, jak bardzo wszyscy ją cenili. Zbiegali się nań tłumnie biedacy i wtedy poznać można było, że i oni zrozumieli kogo stracili. Płacz mieszał się ze słowami błogosławieństwa i dziękczynienia za odebrane usługi.

Lecz nie tu koniec naszej boleści. Epidemja szerzyła się w zatrważający sposób — chorzy leżeli pod gołem niebem, wśród deszczu i błota. Komendant żandarmerji prosił więc usilnie, aby nim urządzą szpital epidemiczny i sprowadzą doktorow, by zająć się niemi. Przyjęłyśmy więc bezdomnych do naszego szpitala, i śp. Siostra Karolina Pelc, z prawdziwem zaparciem się siebie, oczyszczała ich i pielęgnowała. Gorliwość jej w usłudze tych biedaków była niezmordowaną, bo choć już chorych zabrali od nas, troszczyła się nadal o swych pacjentów, zanosząc im rozmaite napoje i bacząc czy saniteci ich nie zaniedbują. Widocznie praca jej bardzo podobała się Panu, kiedy w tak krótkim czasie powołał ją po nagrodę wieczną. We czwartek w dzień nabożeństwa żałobnego za śp. S. Albertynę, wstała jak zwykle o czwartej — ale już w kościele osłabła, zebrała tylko resztki sił, by przyjąć wraz z nami P. Jezusa w Najśw. Eucharystji, musiała się więc położyć. Gorączka stosunkowo nie wielka 37·8 utwierdziła ją w przekonaniu, że to tylko chwilowa niedyspozycja. Ale wezwany zaraz lekarz odjął nam wszelką nadzieję, mówiąc, że ta druga ofiara tyfusu, więcej jak tydzień nie pożyje. Ach jakże boleśnie byłyśmy dotknięte tą wiadomością. Przecież chorzy wszyscy, mimo tylu niewygód, byli już rekonwalescentami, a nasze Siostry padały jedna za drngą. Do tyfusu przyłączyło się jeszcze przekrwawienie mózgu, wskutek czego, dobra nasza Siostra Karolina straciła przytomność i zakończyła dni pełne zasług dnia 3 sierpnia 1917 r. o 1 $^1/_2$ w południe. Mimowoli pytałyśmy się wzajemnie, na którą teraz kolej, ale dobry Bóg odmienił kielich goryczy.

Austrjackie wojska cofały się. Już coraz bliżej słychać było strzały. Moskale zbombardowali nasz dom i weszli 13 sier-

pnia do Marjampola. Straszne to były chwile, ale dobry Bóg, który z największego nieszczęścia, wyciąga dla uas korzyść i nam tę łaskę wyświadczył, gdyż obawa tyfusu plamistego. wstrzymała Moskali, od zajęcia Zakładu przez wojska. Chociaż cały czas nachodzili wciąż o kwatery, nie zamieszkali jcdnak u nas. Z wiosną 1917 epidemja znów zaczęła się rozszerzać po wsi i z pośród nas, miała zabrać nową ofiarę. Siostra Balbina Przywędzka, przysłana przez Najprzewielebniejszych Przełożonych do pielęgnowania chorych Sióstr, nie zdążyła już odjechać z powrotem, aby tu, gdzie tyle położyła zasług, odebrała też stokrotną nagrodę. Z jakąż ona miłością służyła śp. S. Karolinie. a później chorym na sali. Gdy tyfus znów zagościł w naszym szpitalu, nie odstępowała swoich biednych pacjentów, jakby spieszyła się, by jak najwięcej zebrać zasług. I ona wkrótce miała otrzymać nagrodę za swe poświęcenie.

Zachorowała 17 kwietnia 1917 r. Oddzieliłyśmy ją też zaraz, bo lekarz rosyjski nie mógł rozpoznać choroby, orzekł nareszcie, że to ostre zapalenie nerek. Biedna nasza chora, cierpiała bardzo· Najwięcej odczuwała to boleśnie rozdzielenie i brak pomocy duchowej. Lecz ileż tam aktów ufności i dziecięcego zdania na Wolę Bożą.

Droga nasza Siostra dnia 29 kwietnia 1917 r. o 1-szej w południe przeniosła się do wieczności, by odebrać nagrodę za tyle cierpień i modlić się za nas.

Bóg dobry przyjął widocznie ofiarę — jakoteż ofiarę życia 4-ech naszych sierotek, które wkrótce umarły. Drogie nasze anioły, przed śmiercią upewniały nas, że skoro tylko będą w niebie z pewnością uwolnią nas od wroga.

Dziś kiedy już Bogu dzięki jesteśmy wolne — kierujemy często swe myśli i rozmowy, do naszych niezapomnianych Towarzyszek, wspominamy ich cnoty, wierząc mocno, że one z pewnością cieszą się już niezamąconym szczęściem dusz wybranych w niebie.

Zmarli 1914—1920:

		Ur.	Pow.	Święc.	
1.	X. Grabowski Stanisław	1883	1900	1908	† 1. IV. 1914.
2.	Br. Łężny Jan.	1849	1872	—	† 15. I. 1915.
3.	Kl. Reszka Maksymiljan	1893	1912	—	† 20. II. 1915.
4.	Br. Sadowski Błażej . .	1879	1907	—	† VII. 1915.
5.	X. Rożek Wincenty . .	1865	1882	1887	†14. VIII. 1915.
6.	Kl. Bończyk Józef . . .	1894	1913	—	† 12. IX. 1915.
7.	X. Pawłowsski Ignacy .	1883	1900	1908	† 22. IY. 1916.
8.	Kl. Rurański Alfons . .	1895	1915	—	† 24. V. 1916.
9.	X. Pawliński Ludwik . .	1883	1905	1909	† 2. VII. 1916.
10.	X. Konieczny Jakób . .	1866	1882	1888	†23. VII. 1916.
11.	Kl. Gürtler Bernard . .	1894	1912	—	† 28. X. 1916.
12.	Kl. Stańko Leon	1898	—	—	† 1916.
13.	Br. Dyrszczka Wincenty.	1887	1905	—	†30. VIII. 1916.
14.	Br. Wójcik Jan	1876	1902	—	† 3. X. 1916.
15.	Kl. Święcichowski Wikt..	1894	1912	—	† ? 1916.
16.	X. Sokołowicz Józef . .	1866	1882	1888	† 7. I. 1918.
17.	X. Kiedrowski Józef . .	1836	1864	1861	† 10. II. 1918.
18.	X. Janczak Łukasz . . .	1838	1853	1862	† V. 1918.
19.	Br. Susmarski Franciszek (br. Andrzej)	1874	1902	—	† 14. V. 1918.
20.	Kl. Główczewski Jan . .	1895	1913	—	† 12. VI. 1918.
21.	X. Świętek Józef	1891	1910	—	† 19. VI. 1918.
22.	Kl. Sosnowski Jan . . .	1880	1898	1906	† 17. VII. 1918.
23.	X. Domoradzki Franciszek	1842	1896	1869	† 26. IX. 1918.
24.	X. Dejewski Feliks . . .	1881	1899	1906	†23. XII. 1918.
25.	X. Sobolewski Józef . .	1829	1847	1853	† 27. III. 1919.

		Ur.	Pow.	Święc.	
26.	Br. Talkowski Maks . .	1862	1891	—	† 3. I. 1920.
27.	X. Głogowski Jerzy . .	1872	1891	1898	† 29. II. 1920.
28.	X. Wrodarczyk Franc. .	1874	1893	1900	† 15. III. 1920.
29.	X. Tomaszewski Czesław	1891	1909	1916	† 20. IV. 1920.
30.	Brat Krasicki Jan (brat Ludwik	1850	1872	—	† 16. V. 1920.

Roczniki
obydwóch Zgromadzeń św. Wincentego, 1920. (R. XXII).